MIESIĘCZNIK LUDOWY



ROK I WARSZAWA, KWIECIEŃ - MAJ 1947 R. NR 2–3

CENA 30 ZŁ

SPIS TREŚCI

NA OKŁADCE: KAPELA GÓRALSKA WEDŁUG DRZEWORYTU J. DZIEŚLEWSKIEGO

MIESIĘCZNIK LUDOWY

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWIE KRZEWIENIA KULTURY NA WSI

Nr 2—3 WARSZAWA, KWIECIEŃ—MAJ 1947 R. Rok I

ZYGMUNT GARSTECKI

Spółdzielczość mecenasem kultury

Upowszechnienie kultury i jej wszechstronny rozwój jest jednym z naczelnych zadań państwa i polityki kulturalnej rządu. W tym celu powołane zostało Ministerstwo Kultury i Sztuki a powołanie i zachowanie tego właśnie ministerstwa jako instytucji trwałej ma swoją szczególną wymowę. Wyraziła się w tym bardzo istotna i zasadnicza zmiana w kolejności celów państwowych i narodowych w stosunku do kolejności obowiązującej przed wojną. Lata 1939 — 1945 rozwiały marzenia o politycznej mocarstwowości. Przeżyliśmy gorzkie rozczarowanie, ale wyciągamy z tego właściwe wnioski: obowiązuje nas realizm polityczny i zwrócenie wszystkich sił na rozwój gospodarczy, społeczny i kulturalny. Jest to najwłaściwsza droga do odbudowy i odrodzenia wyniszczonego straszliwą wojną narodu.

Najbliższy okres 3 lat przewidziany jest na rozwiązanie podstawowych zagadnień gospodarczych (plan gospodarczy). Taka jest konieczność a potrzeby kultury uwzględniane są tylko w granicach obecnych możliwości. Znajduje to swoje odbicie w skromnym budżecie Ogrom potrzeb kulturalnych sięga jednak takich rozmiarów, że przewidziane środki państwowe w drobnej zaledwie części mogą przyczynić się do rozwiązania piętrzących się zadań. Lwią część nie tylko wysiłku, ale również **materialnych świadczeń** na ten cel musi przejąć na siebie społeczeństwo. Do wywołania jednak ofiarności i trwałego wysiłku oraz świadczeń na cele kultury niezbędna jest powszechna głęboka świadomość tego, **że przyszłość nasza bardziej niż kiedykolwiek zależy od rozwoju kultury.** Nie jesteśmy politycznym mocarstwem. lecz możemy stać się wielką siłą gospodarczą i kulturalną, a w ten sposób określić nasze miejsce i wartość w rodzinie narodów Europy i świata.

Najpoważniejszym i jednocześnie najtrudniejszym zagadnieniem w naszych warunkach jest upowszechnienie i uspołecznienie kultury na wsi. Wieki pańszczyzny, odcięcie od kultury na przestrzeni 20 lat przedwojennych i wreszcie ostatnia wojna i okupacja złożyły się na obniżenie poziomu kulturalnego wsi. Brak podstawowych urządzeń i instytucyj kulturalno-oświatowych w dostatecznej ilości ze szkołą na czele, brak przygotowanych do organizowania życia społeczno - kulturalnego ludzi jest tak wielki, że przewidziane środki państwowe mogą spełnić rolę raczej pomocniczą.

Programy różnych związków i organizacji chłopskich uwzględniają szeroko zagadnienia kulturalno - oświatowe. Wszystkie jednak napotykają na jedną zasadniczą trudność: brak środków materialnych na ich wykonanie. Otrzymywane subwencje państwowe i środki własne sy tak znikome, że poważna praca jest prawie niemożliwa. Są to poprostu nikłe strumyki wobec oceanu potrzeb w dziedzinie społeczno - kulturalnej wsi. W takim położeniu zachodzi konieczność oparcia działalności kulturalnej i oświatowej na trwałej i stałej podstawie społecznej finansującej ją w szerszym niż dotąd zakresie. Jest nią niewyzyskana dotąd we właściwy sposób — spółdzielczość samopomocowa.

Ruch spółdzielczy jest w swoich założeniach nie tylko ruchem gospodarczym. Jest to równocześnie prąd o wielostronnych zadaniach społecznych i kulturalnych. Dąży do zaspakajania potrzeb materialnych i **duchowych** człowieka i całych warstw społecznych. W ustroju ludowym jest on składowym elementem tego ustroju o wyraźnie określonych zadaniach. Sięgnijmy do statutu Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska". Uwzględnia on sprawy kulturalne bardzo szeroko w następujący sposób:

„Celem Spółdzielni jest zaspakajanie wspólnymi siłami materialnych i **kulturalnych** potrzeb swoich członków". I dalej: „Spółdzielnia organizuje różne przedsięwzięcia o charakterze kulturalno - oświatowym, jak: domy ludowe,

teatry ludowe, biblioteki, szkoły specjalne, kursy itp., jak również przedsięwzięcia podnoszące poziom życia towarzyskiego i kulturalnego wsi polskiej. Urządza gospodarstwa pokazowe, wystawy rolnicze, pólka doświadczalne itp., imprezy, rozwijające wiedzę agrotechniczną. Prowadzi akcję zmierzającą do podniesienia poziomu zdrowotnego wsi przez zakładanie ośrodków zdrowia, przychodni lekarskich i weterynaryjnych, urządzanie pokazów i konkursów, budowę urządzeń sanitarnych itp. Współdziała z władzami państwowymi i samorządowymi w dziele podnoszenia poziomu gospodarczego, **kulturalnego** i **zdrowotnego** mas chłopskich".

Jak wynika z powyżej przytoczonych punktów statutu, Spółdzielnia Gminna jest **obowiązana** prowadzić działalność społeczno - kulturalną względnie też ją finansować. Zobowiązanie to wypływa jeszcze z innego powodu: w wyniku reformy rolnej spółdzielnie gminne przejęły wielki majątek pozostały z parcelacji obszarniczej ziemi. Oto kilka danych:

w końcu 1946 r. było czynnych 1679 Spółdzielni „Samopomoc Chłopska", z czego 1493 — to spółdzielnie gminne, 94 — ogrodnicze, 69 — rybne, i 23 różne inne. Spółdzielnie te przejęły 1580 zakładów przemysłu rolnego i pomocniczego oraz objęły 3500 resztówek o ogólnej powierzchni 56.000 ha! Z resztówkami zaś wielką ilość pałaców, dworów i innych zabudowań posiadających ogromną wartość gospodarczą i społeczno - kulturalną.

Nawiasowo trzeba tu stwierdzić, że na tym odcinku ruch chłopski nie zdał należycie społecznego egzaminu. Dewastowanie, kradzież i rabunek resztówek były zjawiskiem powszechnym. Po dzisiejszy dzień spotykamy się z podobnymi wypadkami i to dość często. Poszanowanie dobra społecznego (gminnego!) jest bardzo słabe.

Tak więc spółdzielczość samopomocowa otrzymała w posagu resztówki i przemysły, z których poważna część jest już uruchomiona i przynosi duże dochody. Ten spadek po majątkach obszarniczych powinien zobowiązywać ją również do świadczeń bezpośrednich bądź pośrednich na pokrycie potrzeb kulturalnych. Posiadanie zaś resztówek nakłada wyjątkowo wielką odpowiedzialność, jeśli chodzi o ich pełne i celowe wykorzystanie dla celów społecznych i kulturalno - oświatowych. Dysponowanie nimi zmusza poprostu spółdzielnie do czynnego zajęcia się sprawami społeczno-kulturalnymi. Dotychczasowe doświadczenie poucza jednak, że wykonywanie zadań i obowiązków społecznych i kulturalnych przez spółdzielnie **jest uzależnione przede wszystkim od stopnia uspołecznienia i spółdzielczego wyrobienia środowiska, członków spółdzielni oraz jej władzy: Rady Nadzorczej i Zarządu.** Są już dość liczne wypadki, że spółdzielnie gminne biorą czynny udział w pracach społecznych i kulturalnych, bądź popierają te prace finansowo. Większość jednak z nich jest ustosunkowana conajmniej obojętnie. Są to przeważnie spółdzielnie opanowane przez ludzi spekulujących, często napływowych i niezwiązanych ze środowiskiem gminnym oraz jego potrzebami i dążeniami. W środowiskach o słabym wyrobieniu społecznym i gospodarczym dostały się spółdzielnie w ręce sprytnych kombinatorów, dawnych sklepikarzy i przybyszów z miast, którzy zwietrzyli dobry interes i korzystając — szczególnie w pierwszym okresie — z nieufności i rezerwy pewnej części chłopów opanowali je i kierują nimi według własnych interesów i potrzeb.

Element ten, muszą chłopi w jak najkrótszym czasie usunąć. Dużo mogłyby tu zrobić komórki partyjne, posiadające poważne wpływy w spółdzielniach, gdyby zważały na dobór właściwych ludzi na stanowiska gospodarcze. Czystka w spółdzielczości samopomocowej jest konieczna i musi przyczynić się do usprawnienia omawianej tu strony jej działalności.

Błędem działaczy kulturalno - oświatowych jest pomijanie i niedocenianie możliwości spółdzielni w zakresie odbudowy kulturalnej wsi. Spółdzielnia jest i musi być terenem poczynań o charakterze społeczno - kulturalnym. Poza czynnikami gospodarczymi powinny wypełniać jej działalność dążenia, które wynikają z ducha i założeń ideowych. Nie jest ważne w tym wypadku, czy będzie je wypełniała spółdzielnia bezpośrednio, czy też przez finansowanie ośrodków pracy kulturalno - oświatowej, stąd też działaczom kulturalnym narzuca się prosty wniosek: wchodzić do spółdzielni, być jej członkami i wywierać wpływ na kierunek jej działalności. Skoro spółdzielnia jest **statutowo** zobowiązana do prowadzenia działalności kulturalnej, nie może zabraknąć w Radzie Nadzorczej i Zarządzie przedstawiciela tego kierunku; to jest działacza kulturalno - oświatowego. W zakresie jego obowiązków będzie leżało ustalenie i wypełnienie programu społeczno - kulturalnego spółdzielni, ze szczególnym uwzględnieniem pełnego i celowego wykorzystania resztówek dla tych właśnie celów.

Nie jest łatwym zadaniem nagiąć i nakłonić spółdzielców o **jednostronnym gospodarczym** podejściu do stałych i systematycznych świadczeń na cele poza gospodarcze. Przeważa zazwyczaj chęć zbycia się tego obowiązku jednorazową subwencją, co nigdy nie będzie miało poważniejszego wpływu na rozwój życia kulturalnego gminy. Dopiero stały, świadomy, planowy i czynny udział spółdzielni w pracy nad rozwijaniem i krzewieniem kultury w gminie może przyczynić się do zmiany panujących na tym odcinku stosunków i dać właściwe rezultaty. Dlatego też trzeba podjąć się planowego oddziaływania w kierunku wytworzenia w spółdzielniach takiego właśnie nastawienia. Oddziaływanie to musi objąć następujące odcinki:

a) wychowanie (prasa, literatura, kursy dla działaczów i pracowników itp.);
b) współdziałanie całego środowiska i czynny udział działaczów społeczno - kulturalnych;
c) kontrola tej strony działalności przez Związek Rewizyjny i Z.S.Ch.;
d) uzależnienie przyjmowanych kredytów i pomocy od wywiązania się z obowiązków społeczno - kulturalnych.

Dwa pierwsze posiadają charakter ideowo - wychowawczy i wymagają w warunkach powojennej demoralizacji dłuższego czasu, żeby wykazać się większymi wynikami. Dwa następne dają szanse na wcześniejsze osiągnięcia przez zastosowanie pewnego rodzaju przymusu w wypadkach świadomego i nieświadomego uchylania się od wypełniania zobowiązań statutowych spółdzielni na odcinku społecznym i kulturalnym.

Najlepszą w zasadzie drogą jest nastawienie całego środowiska i masowy powszechny udział chłopów w działalności spółdzielni. Spółdzielnia Gminna musi się stać ośrodkiem urzeczywistnienia celów gospodarczych i społeczno - kulturalnych całej gminy. Wszelka rezerwa w stosunku do Gminnej Spółdzielni „S. Ch.", wynikająca z fałszywych przesłanek politycznych lub pozostałych po systemie kapitalistyczno - obszarniczym, powinna ustąpić. Czynny stosunek i wypełnienie jej pracą i dążeniami całego gminnego środowiska chłopskiego może uczynić z niej jeden z najbardziej skutecznych warsztatów odbudowy gospodarczej i społeczno - kulturalnej. Na tym odcinku winien koncentrować się wysiłek działaczów, i jednym z naczelnych zadań ich pracy w terenie musi stać się właśnie skierowanie rozproszonych i często biernych sił chłopskich na osiągnięcie zakreślone założeniami spółdzielczości Samopomocy. Jest to **realna** droga do poprawy bytu materialnego i odbudowy kulturalnej wsi i ruch chłopski powinien ją w pełni wyzyskać.

Spółdzielczość samopomocowa otwiera przed nim szerokie możliwości. W dziedzinie społeczno - kulturalnej należy uczynić z niej mocną bazę gospodarczą i zapewnić poczynaniom kulturalnym realne warunki osiągnięcia zakreślonych celów. Wszelkiego typu działacze kulturalni i oświatowcy mogą znaleźć w niej również osobiste oparcie i podstawy swojej egzystencji. W ciężkich warunkach odbudowy naszego życia kulturalnego, spółdzielczość może pełnić rolę mecenasa w najszerszym, społecznym tego słowa znaczeniu i w najkorzystniejszej sytuacji może sama stać się ośrodkiem twórczym i organizującym kulturę. Jest to zadanie niełatwe. Przeto zrozumienie funkcji, jaką kultura w dalszym rozwoju wsi i całego narodu ma spełniać, powinno stać się zachętą i podnietą do jego podjęcia i rozwiązania.

JAN WOŹNIACKI

Wypróbowana dźwignia

Rozważając rozwój kultury wsi w jej obecnym stanie, należy odnaleźć najważniejszy z czynników, który kulturę tę do obecnego stanu doprowadził i może dalej szybko ją wznosić i upowszechniać. Obejrzyjmy wieś z jej czynnikami tworzącymi kulturę z człowiekiem na czele.

Całokształt bycia wsi dla większości jej mieszkańców da się zamknąć w niewielkim widnokręgu potrzeb gospodarczych i niewielkich zainteresowań osobistych. Jest to sama wieś, kościół, targ w mieście, warsztaty rzemieślnicze i ośrodki przemysłowe obsługujące gospodarstwa i wsie sąsiednie. W takim widnokręgu dokonuje się niemal całe życie bardzo dużej większości ludzi wiejskich. Z perspektywy dłuższego czasu, choćby kilkunastu lat, dostrzegamy tam stałe zmiany i ciągłe. Co się tam wciąż dokonuje? Kto zmienia wieś we wszystkich przejawach życia?

Wszystkie zmiany zapoczątkowuje jednostka, a dopiero później stają się one własnością ogółu i przez ogół dalej są rozprzestrzeniane. Rozchodzą się po wsiach jak kręgi na spokojnej wodzie od rzuconego kamienia. Namacalnym dowodem takiego właśnie stanu są wszystkie osobliwości regionalne jak: budownictwo, stroje, pieśni, mowa, obyczaje. Stopnie korzystania z urządzeń kulturalnych i technicznych. Często regiony takie mają bardzo niewielki zasięg, bo zamykać się mogą w ramach jednej wsi. Powstają wtedy dla takiej wsi przymiotniki obowiązującej opinii jak: spokojna, bijąca się, zorganizowana, uspołeczniona, ciemna, oświecona, brudna, pijacka, a nawet często złodziejska. Osławiona wieś Lisków, zanim stworzyła swoją historię i dokonała znanych przemian, nazywana była złodziejską, bo gdzie komu co w okolicy zginęło koń, czy krowa to poszkodowany szedł szukać w Liskowie.

Im region o jakimś jednostronnym przymiotniku jest mniejszy, tym szybszym ulega przemianom na lepsze, bo na wsi rzeczy dobre są trwalsze od złych.

Zmiany podnoszące poziom kultury wiejskiej przychodzą na wieś powoli i w swym pochodzie nie ominą wsi żadnej, bo postęp ten jest niepowstrzymany i nieodwracalny. Stawia się tu tylko coraz większe wymagania na skutek szybko dochodzących wiadomości z całego świata o rzeczach dobrych i pięknych, które chcielibyśmy mieć u siebie. Chodzi o to żeby na wsi było dużo pionierów zapoczątkowujących choćby w drobnych odcinkach to, co ułatwia i umila życie, a więc stworzy dobrobyt i kulturę.

Takich rzeczy uczy między innymi szkoła rolnicza. Dotychczasowy wkład szkół rol. w podniesienie kultury swoich wychowanków jest olbrzymi i bezsporny, choć szkoły te nie były u nas liczne. Historię Pszczelina, Mieczysławowa i podobnych im szkół rolniczych wplata się poważnie do historii dźwigania się wsi, a nawet do historii ruchu ludowego na przednie miejsce. Jest to najbardziej słuszne, bo szkoła rolnicza, to szkoła dobrego życia. Wyrwani z widnokręgu swej wioski i wiecznego kołowrotu tych samych spraw, chłopak lub dziewczyna wiejska, dostają się w szkole rolniczej do innego zupełnie środowiska, które często uważają z początku za świat dziwów, a następnie wszystko tam sobie przyswajają i uznają za swoje konieczne potrzeby, bez których już całe życie obejść się nie potrafią albo z trudem się obchodzą. Szkoła Rolnicza uczy chcenia tego wszystkiego w życiu co jest w szkole. To jest najistotniejsza jej wartość. W szkole rolniczej obok siebie w parze i zgodzie żyją wolność i prawo, zabawa i praca, nauka i przyjemność, swoje sprawy i cudze stanowią całość, tam jest możność wybitnego rozwoju własnych indywidualności, obok obszernego korzystania z bogatych wzorów swoich wychowawców i współtowarzyszy, obok dobrych urządzeń technicznych jest tam dużo urządzeń i czynników kulturalnych, korzystanie z których mimowoli uczy dobrego. Nauka w szkole rolniczej uczy poza zawodem współzależności społecznej, korzystania z dóbr kulturalnych, rozbudza i utrwala chęć dalszego kształcenia się, choćby samemu (samokształcenie), rozbudza poczucie wartości i ambicję.

Nikt nie zna chyba wypadku, żeby któryś z wychowanków szkoły rolniczej nic nie stworzył i nie wniósł do swego środowiska, co nie byłoby naśladowane choćby na małym odcinku. Nie każdy jest orłem i czyni zadość wszystkim wymaganiom stawianym mu przez ogół z racji ukończenia szkoły, ale każdy jednak coś w swojej wsi rozsadza i rozprzestrzenia. Może to być dobre gospodarowanie, (nowe metody w gospodarstwie), wprowadzenie nowych odmian zbóż i nowych egzemplarzy do hodowli. Wprowadzają niektórzy jakieś ulepszenia w gospodarstwie lub domu, są dobrymi społecznikami, rzucają jakieś nowe myśli, czytają gazety i książki, politykują nawet.

Pierwszy wychowanek szkoły rolniczej w mojej wiosce (Mieczysławowie) zrobił niby niewiele. Przywiózł ze szkoły nasienie, rzadkich wówczas pomidorów i uprawił ich sporą działkę. Śmiechu z tego było we wsi, a gadania! Ale cóż, w szkole nauczył się dobrze hodować pomidory i dowiedział się, że fosfór przyśpiesza wegetację roślin. Pomidory sprzedał w mieście za dobrą cenę, bo około dwóch tygodni wcześniej, niż podmiejscy ogrodnicy i kupił za nie kierat, maszynę do młocki, rower, narzędzia stolarskie i dwa garnitury ubrań. We wsi dalej się z niego śmiano, że pomidorami młóci, sieczkę rżnie, na pomidorach jeździ i w pomidorach chodzi, ale to już był śmiech zazdrości. On tymczasem robił ule, sadził drzewka owocowe, sprowadził róże, sprzedawał pomidory, (owoce i sadzonki), chałupę nową postawił, która stała się wzorem dla wszystkich budujących się chałup w okolicy. Dziś cała ta wieś sadzi pomidory, ma rowery, kieraty, wysyła swą młodzież do szkół rolniczych, czyta gazety i książki. W ogródkach kwitną róże i anteny radiowe wiatr chusta na dachach. W czasie okupacji były w tej wsi magazyny broni i niemała cząstka ruchu partyzanckiego.

Dobrej szkoły rolniczej nie zastąpi zła szkoła rolnicza, albo inna forma szkolenia. Gdyby ktoś ukończył przysposobienie rolnicze, spółdzielczo-społeczne, wojskowe i miał względnie dobre nawet warunki wyżycia się w organizacji młodzieżowej, to wszystko razem nie da tej całości, jaką daje szkoła rolnicza, która całość tą skupia w sobie i podaje w formie namiastkowej, ale zdecydowanej, łatwej do przyjęcia i nieulegającej wątpliwości.

WINCENTY WĄSIK

Szkolnictwo rolnicze a kultura społeczeństwa wiejskiego

Oświata powoduje rozwój kulturalny zarówno jednostki, jak i społeczności ludzkiej. Jest ona podstawą twórczości kulturalnej, bo przybliża człowieka do zdobyczy kultury i jest motorem ich upowszechnienia.

Aczkolwiek jakość i charakter kultury, zależą przede wszystkim od ustroju społeczno - gospodarczego, to jednak zarówno w ustroju szlacheckim, kapitalistycznym, jak i w ustroju demokratycznym wszędzie oświata odgrywa i odgrywać będzie rolę — w tworzeniu, rozpowszechnianiu i podnoszeniu poziomu kultury.

W stosunkach polskich nie małe zadanie w krzewieniu i podnoszeniu kultury na wsi spełniała i spełnia obok innych i szkoła rolnicza. Fakt ten nie zawsze jest należycie oceniany. Pierwsze szkoły rolnicze jak: Pszczelin, Kruszynek, Sokołówek, Gołotczyzna, Krasienin — powstały w okresie niewoli politycznej narodu polskiego i ucisku klasowego ze strony warstwy ziemiańskiej. Szkoły te były pionierami nie tylko postępu gospodarczego wsi, — ale były również czynnikiem wychowania obywatelskiego. Charakter ich był wybitnie fachowo - społeczny, bowiem i założyciele byli ludźmi ogromnie ofiarnymi i uspołecznionymi. To przecież działacze z ówczesnego, nielicznego obozu demokratycznego, którzy odzyskanie niepodległości Polski uzależniali od podniesienia gospodarczego i kulturalnego ludu wiejskiego. Być może, że w tych akcjach szkół rolniczych, było podówczas sporo filantropii, niemniej wyniki okazały się duże w rozwoju kulturalnym jednostek chłopskich.

Wychowankowie szkół rolniczych, dzięki rozbudzeniu pod względem społecznym stawali się przodownikami w życiu swoich wsi, a przodownictwo ich objawiało się w coraz lepszym gospodarowaniu i promieniowaniu na otoczenie. Wielu z wychowanków szkół rolniczych — to pierwsi stali korespondenci gazet, pism fachowych i kulturalno - oświatowych, organizatorzy domów ludowych, wiejskich biblioteczek itp. Byli oni, obok innych, pierwszymi organizatorami Kół Młodzieży Wiejskiej w Polsce, oraz twórcami — Kółek Rolniczych, co dla rozwoju kultury miało ogromną wartość.

Działacze z tamtych czasów, dziś z nadzwyczajną czcią wspominają nauczycieli — wychowawców i społeczników, którzy wtedy wykładali w szkołach. Do wychowawców tych należą: J. Dziubińska, Irena Kosmowska i inni. Ówczesne szkoły rolnicze powstawały z inicjatywy społecznej małej grupy zapaleńców — społeczników.

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r., kiedy zwyciężyła ideologia Polski szlachecko - mieszczańskiej, wszystkie ośrodki i formy szkoleniowe zostały podporządkowane tej naczelnej idei. A więc ówczesna szkoła rolnicza t.zw. Powiatowa Szkoła Rolnicza stała się instytucją ściśle fachową. Chodziło bowiem o przygotowanie dobrego rolnika, hodowcy, ogrodnika. Leżało to w interesie wielu dworów, które cierpiały na brak fachowych, podrzędnych sił.

Jedynie silna tradycja oraz ofiarność i uspołecznienie wielu z nauczycieli szkół rolniczych utrzymało długo niektóre szkoły na poziomie fachowo - społecznym. W tym okresie niektóre szkoły (Goladków, Blich, Zwoleń, Wacyn, Krasienin, Pszczelin, Jeżewo i inne), odgrywały nadal rolę szkół przygotowania społecznego młodzieży. Te kilka szkół, które przytaczam były mi znane, ale niewątpliwie było takich dużo więcej.

Naczelną myślą przewodnią ówczesnych ideologów kierunku szlachecko - mieszczańskiego był t.zw. elitaryzm, forsowany między innymi przez Adama Skwarczyńskiego. I ówczesna szkoła rolnicza miała właśnie za zadanie przygotowywania fachowej elity w rolnictwie. Kładło się na to nacisk w tym obozie przed powszechnością i stąd stawianie **jakości** przeciw **ilości**.

W okresie tym wielu wychowanków szkół rolniczych zmarnowało się społecznie, gdyż po ukończeniu szkoły rolniczej, młodzież szła do innych zawodów, lub na służbę do dworu.

Niezłą namiastką w tamtych warunkach w zaspakajaniu potrzeb szkolenia rolniczego młodzieży wiejskiej była praca w Przysposobieniu Rolniczym. Oparcie społeczne tych prac było w zorganizowanej młodzieży wiejskiej.

Przysposobienie rolnicze miało charakter fachowo - społeczny i oprócz prac z dziedziny gospodarstwa, młodzież przyczyniała się do zakładania świetlic, pobudowała dom kultury, zradiofonizowała wieś, zakładała biblioteczkę i organizowała wystawy, na których można było podziwiać obok nieprawdopodobnie wielkich głów kapusty, piękne artystyczne wyroby przemysłu ludowego.

Zakończenie prac rocznych w szkole rolniczej i w P. R. było okazją do przygotowania uroczystych przedstawień, na których młodzież wykazywała często dużo inicjatywy, pomysłowości i prawdziwego talentu. Praktyczny z tego wynik, że budził się, kształcił i wyrabiał smak artystyczny, potrzeba i ambicje kulturalno - oświatowe zespołów młodzieży, będących w or-

bicie wpływów szkoły rolniczej. Były to, być może, prymitywy w tworzeniu, nieudolność w odtwarzaniu, niemniej wystąpienia ochotnicze, somorodne, bez nakładu środków finansowych ze strony Państwa.

Obydwie te formy nie miały jednak charakteru powszechności.

Po wojnie na skutek dokonanej rewolucji społeczno - gospodarczej, wieś będzie odpowiedzialna historycznie za dalsze losy i rozwój narodu. Dlatego wszystkie podstawy wychowawcze, oświatowe, kulturalne muszą być inne niż przed wojną. Winny stać się powszechnymi, choćby to nawet przejściowo zostało wprowadzone kosztem jakości.

Nowe stosunki społeczne i warunki w jakich się znajdujemy obecnie, oraz nowe zadania jakie stoją przed szkolnictwem rolniczym i oświatą rolniczą pogłębią i poszerzą wartości kulturalne wsi. Na to wskazuje historia, dotychczasowy dorobek, oraz konieczności życiowe jakie stawia narodowi nowa rzeczywistość.

EDWARD MARZEC

Słowo drukowane na wsi

Jednym z bardzo wpływowych czynników w szerzeniu kultury wszędzie, a za tym i na wsi jest słowo drukowane. Można by je nawet postawić na drugim miejscu po słowie mówionym, a więc na pierwszym przed radiem, kinem, teatrem, wystawą i t. p. Znaczenie słowa drukowanego jest tym większe, że wymaga ono w rozpowszechnianiu mniej zabiegów i urządzeń od innych czynników szerzenia kultury, a i w produkcji z pewnością jest tańsze. Prócz tego jest to rzecz trwała, bo po zniszczeniu, jak to widzimy w czasie wojny, daje się wznowić.

Pod słowem drukowanym rozumie się książki, gazety, broszury, ulotki. Gdy zaś mowa o wsi, to opinia ogólna, przeznacza na użytek chłopów przede wszystkim: książki do nabożeństwa, podręczniki szkolne, kalendarze, przeważnie rolnicze, gazety rolnicze, gospodarcze i polityczne, oraz w małym stopniu beletrystykę a w minimalnym literaturę poetycką. Ograniczenie powyższe powinno być kamieniem obrazy chłopskiego społeczeństwa, bo świadczy o bardzo mizernym wyborze słowa drukowanego. Wiele przecież innych rodzajów książek i pism mogłoby wiejskich czytelników zainteresować i podnieść kulturalnie. Lecz wieś się nie może obrazić, gdyż sama się przyczyniła w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat do takiego ograniczenia w doborze drukowanego słowa.

Celowe wydaje się tu odejście od tematu, dla zauważenia przyczyny, która powoduje, iż musimy w połowie XX wieku zastanawiać się, jak doprowadzić książkę na rynek wiejski. Początkowo zapotrzebowanie społeczeństwa na słowo drukowane ogranicza się do wydawnictw kościelnych lub świeckich o treści religijnej (modlitewniki, żywoty świętych). O zapoczątkowaniu świeckiej prasy, lub literatury długo nie było słychać, a to wskutek nierozbudzenia wsi i braku zainteresowania postępem. Dopiero pisma „dla ludu" a nieco później ludowe, wytrwale stukające do nielicznej, — jak na ogół wsi — garstki ciekawszych, wskazują powoli na inne niż dotychczas, a godne poznania tematy i rodzaje wiadomości. Do pism dodawano kalendarze ciekawe i pożyteczne, a wszystko to można by dziś nazwać łagodną nadzwyczaj lekturą, rozbudzającą powolutku i towarzyszącą powolnemu postępowi czytelnika.

Czasy obecne, międzywojenne i ostatnie posunęły sprawy postępu i uświadomienia społeczeństwa gwałtownie naprzód. Nie dokonały postępu i uświadomienia, ale postawiły społeczeństwo wobec pilnej konieczności unowocześnienia życia. Z warstw społecznych wieś została najbardziej zaskoczona zdarzeniami, jakie zaszły (wojny, zmiany ustroju gospodarczego i politycznego). Powinna się więc przekonać, że ma do wyboru, albo pójście pod przemożny wpływ innych klas społecznych, albo się skwapliwie i powszechnie dokształcić. Powolny postęp wsi to jej przegrana, gwałtowniejszy, to jej szansa na odzyskanie właściwego miejsca. Szkoda, że ogół wsi nie wypowiada swoich poglądów i nie wypowie choćbyśmy rozpisali ankietę jak najbardziej masową. Wypowiedź wypadłaby bardzo, a bardzo ciekawie i być może zupełnie za powolnym postępem, czyli przegraną.

Zapotrzebowanie wsi na wspomniane rodzaje książek i pism zaspokajają poszczególni wydawcy w takiej kolejności: duchowieństwo, szkoła (państwo), organizacja zawodowa (rolnicza), stronnictwa polityczne, stowarzyszenia oświatowe i artystyczne oraz księgarnie firm czysto wydawniczych. Kolejność o tyle ma tu znaczenie, że objaśnia zmiany, jakie zaszły w obsłudze wsi.

Kościół na pierwszym miejscu, gdyż zapotrzebowanie nie słabnie, a zresztą sposoby rozprowadzania wydawnictw duchowieństwo zdołało wydoskonalić w przystosowaniu do warunków i upodobań wiejskich. Przedwojenny „Mały Dziennik", „Rycerz Niepokalanej" (wznowiony po wojnie) i pisma diecezjalne rozchodzą się po wsiach dzięki parafiom, które są w tym wypadku propagatorami czytelnictwa i punktami kol-

portażu. Książeczki do modlitwy mogą wierni nabywać wraz z dewocjonaliami na jarmarkach, w czasie odpustów, a przy wielu kościołach w każdą prawie niedzielę. W małych miastach (powiatowych) sklep z dewocjonaliami jest tak częsty, jeśli nie bardziej, jak świecka księgarnia. Poza tym istnieją jeszcze biblioteki parafialne z których bardziej ciekawi chłopi mogą i wypożyczają „grubsze" książki do czytania. Propaganda czytelnictwa książek o treści religijnej jest możliwa dzięki istnieniu bractw relgijnych, na które duchowieństwo wywiera zdecydowany wpływ, gdyż nimi kieruje i zwiększa ich zasięg. W rezultacie niezależnie od postępu, poziomu materialnego wsi i skłonności do czytania, duchowieństwo (mówię o katolickim) jest w stanie nasycać wieś lekturą ze swego zakresu.

Mógłby ktoś zakwestionować czytelnictwo książek szkolnych, jako że podręczniki używa młodzież przede wszystkiem. Otóż nie rzadkie są wypadki, że rodzice, przy niezmienności książek szkolnych w ciągu kilku lat posyłania dzieci do szkoły, wiele tekstów znają na pamięć, bo albo czytają, albo słyszą, jak dziecko czyta. Lektura ta ma duże znaczenie nie tylko dla dzieci, jakże jednak w małym rozmiarze zaspakaja nie wyrażane, a przecież istniejące potrzeby człowieka.

Organizacje rolnicze przed wojną wydawały więcej książek, niż czynią to obecnie. Podobnie ma się rzecz z prasą rolniczą. Cóż jednak za tempo w rozprowadzaniu? Najgłębiej w dół sięgało się do niektórych miast powiatowych przez księgarnie i powiatowe ogniwa organizacyjne. Nieco fachowej literatury trafiało na wieś w formie nagród konkursowych, a poza tym co wymieniamy, stałą drogą, jaką dochodziły wydawnictwa były i są prenumeraty (gazety, kalendarze). Forma to bardzo trafna, lecz jej znaczenie moglibyśmy ocenić dopiero po zbadaniu nakładów pism i książek.

Stronnictwa polityczne, stowarzyszenia oświatowo-kulturalne i związki specjalne (artystyczne) docierają na wieś ze swoją prasą i wydawnictwami książkowymi częściowo kolportażem przez ogniwa organizacyjne oraz częściowo przez prenumeraty.

Kolportaż miejski (uliczny i kioski) ogarnia odbiorców wiejskich w małym procencie. Z głębiej, z dalej od miast położonych wsi bywa „ktoś" w stolicy powiatu, lub województwa. Nabędzie jedną z gazet dla siebie, a równocześnie dla wsi. Czytelnictwo na tym opierane nie ma cech trwałości. Jeżeli drugi gospodarz zechciałby kupić książkę fachową (rolniczą) lub o innej treści, musi prosić o kupno „po okazji", a załatwienie będzie zależne od uznania proszonego. Przecież nie wielu jest tak rozmiłowanych w czytelnictwie, żeby nabywanie lemiesza uważali za równie ważne z kupnem książki.

Wyliczając wydawców w kolejności, powinniśmy kilka słów poświęcić nakładom w jakich się ukazują poszczególne rodzaje książek. W tym miejscu można sobie pozwolić na przyjęcie orientacyjnej cyfry 50.000 egz. przy gazetach i czasopismach, a 30.000 egz. przy książkach. Z drugiej strony granicy orientacyjnej będzie liczba nie ludności wiejskiej, ani nawet dorosłych, lecz ilość gospodarstw chłopskich przy zastrzeżeniu, że sporo jest przeludnionych (dwie rodziny, trzy) a mniej gospodarstw nie objętych, zresztą tych wogóle nie zaliczamy do orientacyjnej liczby. Przyjmujemy dla wielkiej ostrożności cyfrę 3.000.000 gospodarstw, z pewnością, że jest ich więcej. Z wydawnictw obecnych, gazet i czasopism drogą pocztową żadne na wsi się nie rozchodzi w wysokości 50.000 egz.

Gdyby się rozeszło, dotrze do niecałych 2% właściciel gospodarstw. Nakład 20.000 egz. dla książki rolniczej byłby wysoki, a choćby nawet pokusił się wydawca o cyfrę graniczną (trzydzieści) to też dopiero jeden procent gospodarzy będzie książkę czytać. Co w tym smutniejsze, to fakt, że przy istniejących przed wojną i dziś sposobach dostarczania książki na wieś czytelnikami będą przeważnie ci sami rolnicy, to znaczy bliżej miast mieszkający, gdy tymczasem okolice dalsze od kolei i miast, nie wiele mają z regularnym czytelnictwem wspólnego.

Skłonność do uogólniania bywa u nas nader powszechna. Ideowi przywódcy chłopów popełniają błąd, gdy mówią, że wieś jest postępowa w swej większości. Ludzie z miast, obcy wsi, lekceważą część klasy chłopskiej, która jest postępowa i kwalifikują ogół wiejski jako ciemny, konserwatywny. W dużym stopniu miarą postępowości byłoby czytelnictwo, lecz owa skłonność do uogólniania stanowi największą przeszkodę w określeniu i praktycznym wykonaniu form dostarczania wsi słowa drukowego. Za to co krytykujemy wszyscy w dziedzinie czytelnictwa, chłopi, tym bardziej z zapadłych wiosek nie będą odpowiedzialni i nie należy im takiej odpowiedzialności narzucać. Wieś książek nie produkuje i do tego nie dojdzie prędko. Produkuje żywność i dostarcza ją odbiorcom w takim gatunku, jaki odbiorcom odpowiada. Książka, gazeta, to produkt dla wsi, ale trzeba pamiętać w jakim powinien być wyborze i dostarczyć go wiejskiemu odbiorcy.

Że jednak organizacje chłopskie i instytucje wsi służące ponoszą wiele z tej odpowiedzialności za słabe czytelnictwo, temu się nie da zaprzeczyć i lepiej nie szukajmy argumentów przeciw sobie.

Zwyczaje wiejskie w traktowaniu książki są zupełnie ubogie w porównaniu z miejskimi. Podobnie będzie z traktowaniem gazety i czasopisma. Książki gospodarz nie kupuje dziecku, lub żonie na imieniny. Nie daje jej również chrześniakowi w prezencie. Gdyby tak czynił, to nakłady książek dla dzieci wzrosłyby stokrotnie. Dla uzupełnienia wiedzy fachowej rolnik nabywa książkę dość rzadko i wprawdzie są tacy gospodarze, lecz nieliczni stosunkowo i przeważnie

znowu ci sami (absolwenci szkół rolniczych, wzorowi praktycy itp.). Kupioną gazetę czytuje się częściej na głos, nie dla siebie wyłącznie. Oceniając to zjawisko, możnaby się łatwo rozgrzeszyć. Niestety. Artykuł wysłuchany powinien być dyskutowany, a tak praktykują jedynie zespoły samokształceniowe młodzieży. Słuchacze przesiadujący wieczorem w sklepie, albo z rana przed mleczarnią często źle zrozumieją sens gazetowej wiadomości i nie dbając o rzetelność w jej rozpowszechnianiu, zresztą nie zrozumieli dobrze, udzielają nowin innym we własnej przeróbce. Skutek jest gorszy niż wtedy, gdy jeden przeczyta z zastanowieniem, bo wielu zostanie fałszywie poinformowanych, żaden zaś ze słuchaczy nie zezwoli by go inni uważali za mniej pojętnego. W wypadku gdy dziesięciu przeczyta gazetę osobno dojść może i dochodzi do porównania, konfrontacji pojętności informatora. Gdy zaś kilku, ale znów osobno przeczyta tę samą książkę, można się spodziewać wymiany uwag co do słuszności wskazówek i poglądów autora. Wniosek nie do obalenia, że wieś traci wskutek braku książki i gazety w wielu egzemplarzach jednocześnie.

A teraz kilka myśli o ostatnich w kolejności wydawcach, których nazywamy słowem „księgarnie". Zjawiskiem chwalebnym jest ruchliwość spółdzielni wydawniczych i takichże firm prywatnych. Mniej natomiast chwalebne jest rozprowadzanie wydawnictw w stronę wsi. Księgarń własnych mają spółdzielnie wydawnicze niewiele ponad kilkanaście i kilkadziesiąt, a jest rzeczą naturalną, że swoje wydawnictwa usiłują reklamować we wszystkich składach. Nieco mniej własnych księgarń posiadają wydawnictwa prywatne. Natomiast księgarń prywatnych jest dość dużo na terenie miast w całym kraju. Księgarze jednak nie potrafią zaopatrzyć wsi w książki tak, jak życzyłby sobie jakikolwiek wydawca, to znaczy nie wpływają na rynek wiejski, żeby odczuwał gorętszą potrzebę słowa drukowanego. Polityka księgarzy polega na zadowalaniu gustów i unikaniu ryzyka. Nowa książka, bez względu na jej charakter bywa oceniana przez księgarza od strony kasowej. Nowy autor odpada w doborze paczki książek przez prowincjonalnego księgarza, bo chyba nikt o dzieło nowego pisarza nie zapyta. Nie zabiegają księgarze, też tego ryzyka unikając, o wielki wybór. A już reklama, to rzecz całkiem obca na głębszej prowincji. Księgarnie, to jak apteki, egzystują bez reklamy. Dobrze byłoby, gdyby książki były tak poszukiwane jak leki. Trudno oczywiście wymagać, by księgarze lokowali kapitał w akcjach społecznych, jaką jest niewątpliwie popularyzacja książki, bo ich pewnie na to nie stać, ale też niewielkie bodaj wysiłki w tym kierunku powinny się tu i ówdzie przejawiać.

Trzeźwo to oceniając, raczej nie możemy się spodziewać nadzwyczajnych osiągnięć. Rzecz z popularyzacją książki i gazety przez księgarza tak się ma, jak z samorzutnym, naturalnym rozbudzeniem się na wsi zapotrzebowania na słowo drukowane. Byłoby to rewelacją. Lecz nie liczmy na rewelacje. Naturalne pragnienie książki przez ludność wiejską wzmaga się powoli, to też, choćby doszło do wielkiego napięcia przestanie już być rewelacją.

Dlatego wypadałoby sięgnąć po inne sposoby dostarczania książki i gazet do rąk ludzi żyjących na wsi. Pobieżny przegląd sposobów, jakich używa w tym celu duchowieństwo, wskazuje, że wczuło się ono doskonale w możliwości wiejskie. Zaspakaja potrzeby w zakresie religijnym. Dociera do samego dna. Tu leży tajemnica i większych nakładów zarówno pism, jak i książek nabożnych.

W tej też dziedzinie najmniej mają chłopi do żądania, gdyż byli od dawna obsługiwani należycie i w dostatecznej mierze.

Jeżeli do tego czasu ani spółdzielnie wydawnicze, ani partie, ani organizacje rolnicze i t. d. nie zdobyły się na zwykłe naśladownictwo metod kolportażowych kleru, to nie ma czym tego zaniedbania wytłumaczyć. Jeżeli ostatnio największa z takich spółdzielni ogłosiła konkurs na temat: „Jak dostarczyć słowo drukowane na wieś" i przeznaczyła nagrody za najtrafniejsze pomysły, to chyba dlatego, że nie interesowała się tą sprawą na odcinku kościelnym. Rzecz jest bowiem na wskroś jasna i tylko brak kapitału może w praktyce przeszkodzić.

Chłopi powinni mieć i książki i gazety na miejscu, tak dalece, jak mają mieszkańcy miast. Wtedy czytelnictwo będzie nie mniej żywe i powszechne niż w mieście. Z istnieniem kiosków wiąże się powstanie kolportażu ulicznego (po mniejszych wsiach): to wydaje mi się niewątpliwe, że po roku istnienia księgarni-kiosków wyrostek wiejski (jako kolporter) zdoła się przyjąć jak każda natrętna nowość i ludzie kupią gazety przed progiem swego domu, każdy dla siebie, nie jeden na całą gromadę. Łącząc księgarnię z kioskiem zwracamy uwagę na jej inny charakter. Będzie spełniać dwa zadania. Czytelnia, może z tym mieć coś wspólnego, w każdym razie, kto zechce miałby warunki do łatwego kupna i wieś takie warunki zaczęłaby wcześniej wykorzystywać niż się nawet optymistom wydaje.

Kto wyłoży na ten cel kapitał? Wieś z pewnością nie w większym stopniu jak w postaci lokalu. Ale spółdzielnie i prywatne firmy wydawnicze, a także organizacje wszelakie, które mają coś ze wsią stycznego i wreszcie państwo powinny stworzyć odpowiedni kapitał i stopniowo województwami taką sieć tworzyć. Wybór słowa drukowanego musiałby być w tych księgarniach dostateczny i bez politycznych hamulców. Ważna jest jeszcze cena książek, lecz to już temat zupełnie goły. Jakiekolwiek domysły ktoś zechce snuć, nie dotknie chyba sedna, dlatego, że o cenie odbiorca masowy nie mówił jeszcze nikomu, gdyż masowego odbiorcy na wsi nie ma.

R. J. OLBRYCHSKI

POTĘŻNY ŚRODEK SZERZENIA KULTURY

Obok wzmożonego tempa rozwoju techniki — znamieniem obecnych czasów jest upowszechnianie wszelkich zdobyczy umysłu i wiedzy ludzkiej, dążenie, by korzyści osiągnięte dzięki geniuszowi jednostki, jak najszybciej mogły służyć wszystkim ludziom. Używając modnego dziś określenia, możnaby to nazwać demokratyzacją tych zdobyczy cywilizacji.

Dlatego też naród, pragnący dotrzymać kroku innym w postępie i rozwoju swego życia musi, żeby nie pozostał w tyle, stosować w dziedzinie oświaty i nauki środki najbardziej nowoczesne, oddziaływujące wszechstronnie i najbardziej przekonywująco na człowieka.

Do środków takich obok książki, gazety, radia należy przede wszystkiem kinematograf. Kino i film odgrywa również rolę wielką jeżeli chodzi o upowszechnienie wartości kulturalnych. I chociaż film jest jedną z najmłodszych sztuk, bo liczącą sobie nie więcej jak pół wieku, to jednak służy jako narzędzie oświaty w szkolnictwie i zakładach naukowych, w dziedzinie techniki i przemysłu, oraz spełnia ważne funkcje o charakterze bezpośrednio związanym z wojskowością.

Oddziaływanie filmu na widza jest uwielokrotnione przez to, że obraz oglądany na ekranie atakuje niemal wszystkie zmysły człowieka.

Po dwóch godzinach wpatrywania się w ekran widz opuszcza salę bogatszy o wiele nowych, nieznanych mu dotychczas wrażeń i wiadomości, które silnie zostały wryte w jego umysł i wyobraźnię.

Kino pozwala poza tym na oszczędność czasu i na oszczędność środków finansowych przy równoczesnym upowszechnieniu widowisk, gdyż możemy wykonać dowolną ilość kopii tego samego filmu i wyświetlać je w dowolnej ilości miejscowości w tym samym czasie.

To sprawiło, że widowisko filmowe stało się najpopularniejszym i najprzystępniejszym „teatrem" ludności miejskiej.

Zatrzymałem się cokolwiek nad ogólnymi uwagami, podkreślając znane wartości kina i filmu po to jedynie, żeby tym wyraźniej podkreślić istnienie dziwacznej sytuacji, polegającej na tym, że wieś, której opóźnienie w rozwoju kulturalnym i postępie gospodarczym a także w oświacie ogólnej i zawodowej — w stosunku do reszty warstw społecznych jest olbrzymie, — jeszcze niemal kina nie ma, bo służy ono u nas głównie miastu dla rozrywki.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę możliwości, jakie kino kryje samo w sobie, to musimy także pamiętać, że chłonność i wrażliwość na obraz filmowy u ludzi wsi jest większa, a ponadto, że na wsi żyje sporo analfabetów (przed wojną 23% ogółu ludności wiejskiej), dla których książka i gazeta jest niedostępna, natomiast obraz i żywe słowo płynące z głośnika kinowego byłoby należycie zrozumiane.

Cóż więc może dać kino?

Odpowiedź na to pytanie wyjaśnia całkowicie potrzebę i znaczenie filmu oraz pełne wykorzystanie kina przy rozwiązywaniu tak ważnych problemów, jak:

a) przyśpieszenia rozwoju kulturalnego i umysłowego ludności;

b) wyrównania braków, powiększonych przez okupację w oświacie ogólnej i rolniczej, szczególnie wśród młodzieży,

c) wskazania wsi dróg postępu oraz rozbudzanie w niej dążeń do ciągłego i trwałego polepszenia warunków bytu i pracy, do osiągnięcia wyższego szczebla dobrobytu.

Głównym zaś celem pracy kinowej winno być wychowanie i wykształcenie istotnie pełnoprawnego obywatela, świadomego swych uprawnień i obowiązków, w pełni dorównującego tą świadomością mieszkańcom miast.

Może ktoś powiedzieć, że przecież podobne cele stawia sobie każda dzisiejsza akcja oświatowo-kulturalna. Temu odpowiem, że wprawdzie z Warszawy do Wrocławia można zawędrować pieszo, wozem, koleją, samochodem a także i samolotem, ale jeżeli chce się być w jednym dniu na miejscu i jeszcze tam coś załatwić — pozostanie nam tylko ten ostatni środek lokomocji, jako najszybszy.

Podobnie jest i w naszym wypadku. Wiekowe zaniedbanie wsi w oświacie i upowszechnieniu wartości kulturalnych w ciągu np. jednego pokolenia można do pewnego stopnia wyrównać, używając jedynie środków najnowocześniejszych, wśród których film bezsprzecznie zajmuje naczelne miejsce.

Wysuwa się zatem zagadnienie, jakimi drogami dojść do upowszechnienia kina na wsi?

Zdaniem moim trzeba spełnić dwa warunki:

1. upowszechnienie filmu w miasteczkach, osadach i na wsi rozwiązane być może jedynie na drodze organizacji kin wędrownych.

2. upowszechnieniem powinna się zajmować organizacja społeczna, przy pomocy innych, mających podobne zainteresowania instytucyj społeczno-gospodarczych i oświatowo-kulturalnych wiejskich.

Statystyka przedwojenna (jest tutaj mowa wyłącznie o kinach stałych bo niemal takie tylko u nas istniały) poucza, że ilość dni widowiskowych zależała od środowiska. W miastach od 20 tysięcy mieszkańców w górę — obrazy

były wyświetlane niemal codziennie, i to dwa i trzy razy dziennie. Natomiast w miasteczkach poniżej 20 tysięcy i na wsi (wieś jest prawdopodobnie wymieniona w statystyce dla przyzwoitości) — zależnie co drugi dzień. Okazuje się zatem, że przed wojną na 750 kin stałych w Polsce około 300 kin było czynnych stale przez cały rok: reszta pracowała z mniejszymi lub większymi przerwami. Niska przeciętna ilość dni widowiskowych — (250, a w pewnych województwach 150) przypadających na jedno kino stałe podnosiła wybitnie koszty eksploatacji i była typowym przykładem nieracjonalnego i bezplanowego gospodarowania. Wobec tak małej liczby kin w Polsce, niewyzyskanie w pełni tych możliwości, jakie dawały już istniejące kina, było marnotrawstwem majątku narodowego.

Klucz do rozwiązania zagadnienia upowszechnienia wartości kulturalnych zapomocą filmu leży w kinach wędrownych. Stosunek ilości kin stałych, wyświetlających szeroką taśmę do ilości kin objazdowych, wąskotaśmowych musi być uzależniony od wielkości skupisk ludzkich. Kina stałe mają rację bytu w miastach liczących ponad 15 tysięcy mieszkańców, na mniejsze skupiska ludzkie opłaci się kierować — tylko kina wędrowne. Wyświetlające łatwopalną, szeroką taśmę kina stałe wymagają odpowiednich kabin dla aparatury, urządzeń przeciwpożarowych oraz wystarczającej ilości miłośników kina na codzienne widowiska. Natomiast kina objazdowe, wąskotaśmowe, dające przy zastosowaniu nowoczesnej aparatury takie same obrazy i dźwięk, mogą być szybko zainstalowane w każdej sali i dają gwarancję bezpieczeństwa ogniowego. A co najważniejsze — kina te nie muszą czekać na widzów, lecz same spieszą do nich z przezroczami. W każdym domu ludowym, szkole, remizie strażackiej, czy w innej sali, która pomieści większą ilość widzów — może pracować aparat wąskotaśmowy. Gdzie brak stałej sieci elektrycznej — co najczęściej spotyka się na wsi — źródłem prądu może być specjalny agregat, wożony z jednej miejscowości do drugiej wraz z aparaturą kinową na samochodzie.

Zgódźmy się więc na kina wędrowne. Lecz kto się powinien zająć wprowadzeniem ich na wieś ?

Przedsiębiorstwo prywatne jako nastawione wyłącznie na zysk musi być odsunięte od tego. Firma państwowa, jak to oglądamy dzisiaj na przykładzie Kin Objazdowych „Filmu Polskiego" jest ciałem sztywnym i biurokratycznym, zresztą ma tyle do roboty w dziedzinie produkcji filmów i sprzętu kinowego oraz w budowie i instalowaniu kin stałych, że dalsze rozdrabnianie finansowe i organizacyjne jego wysiłków wydaje się być niewskazane. Natomiast na „Filmie Polskim" ciąży obowiązek dostarczenia odpowiednich filmów produkcji krajowej, bo tylko takie nadają się całkowicie na wieś. Placówką, która już przed wojną wbrew wszelkim trudnościom zajęła się zorganizowaniem kin objazdowych dla wsi jest — Wiejska Spółdzielnia Kinematograficzna.

Spółdzielnia wiąże swą pracę i opiera na Samopomocy Chłopskiej, Kołach Młodzieży Wiejskiej, nauczycielstwie, spółdzielczości i samorządzie. Ponieważ wymienione organizacje należą do spółdzielni jako członkowie, to mają obowiązek pomagania w wyznaczaniu trasy kina objazdowego w terenie, w organizowaniu widowisk (reklama, zbiorowe zakupywanie biletów), udzielanie bezpłatnych sal i t. p. Ta wzajemna pomoc i współpraca, może wydać piękne owoce. Mamy nadzieję, że i Państwo nie odmówi swego poparcia Wiejskiej Spółdzielni Kinowej i potraktuje ją, w zakresie eksploatacji filmu za pomocą kin wędrownych, na równi z „Filmem Polskim". Nie widzimy powodu, dla którego miałoby być inaczej.

WIEŚ TWORZĄCA

STAŁY DODATEK „MIESIĘCZNIKA LUDOWEGO"

Kto podejmie naszą ideę?

Jednym z formalnych warunków przyjęcia na członka „Wsi Tworzącej" jest podanie swego życiorysu. Dzięki temu nie tylko narasta materiał do historii ruchu ludowego i kultury wsi, ale tłumaczy się sama idea.

Zamieszczone poniżej urywki życiorysów naszych kandydatów na członków, pozwalają zauważyć różnicę między „Wsią Tworzącą" a innymi instytucjami kulturalno-społecznymi.

I.

Urodziłem się dnia 28 listopada 1912 r. w Rakszawie, powiat Łańcut, jako 3-ci z kolei syn gospodarza na 7-morgowym gospodarstwie. Dzieciństwo swoje, o ile pamiętam, spędziłem smutno. Będąc wątłego zdrowia, ośmieszany byłem przez rówieśników i odtrącany od udziału w zabawach. Dlatego przeważnie towarzyszyła mi samotność, która na niejedno kazała mi zwrócić uwagę; w ten sposób wcześnie nauczyłem się myśleć.

Gdy miałem 7 lat, rodzice zapisali mnie do szkoły. Niestety, po 2-tygodniowym pobycie zapadłem na szkarlatynę i byłem zmuszony naukę przerwać. Do szkoły nie danym mi już było wrócić, bowiem w czasie choroby utraciłem słuch na zawsze. Byłem dwukrotnie w Krakowie w szpitalu, gdzie mnie operowano, ale operacje przeprowadzali młodzi, niedoświadczeni lekarze i zamiast pomóc — kompletnie popsuli moje narządy słuchowe.

Od tego czasu zwykła kolej życia dziecka chłopskiego, a szczególnie upośledzonego: pasanie krów, gęsi, później robota w polu i koło domu, a w to wszystko najboleśniej się wplata twarda ręka i pas ojcowski, oraz stokroć gorsze wyzwiska i szyderstwa kolegów — z mojej ułomności. Nie rozumiany przez otoczenie, odtrącony przez rówieśników, szukałem ukojenia w samotności i książce, do tego stopnia, że ani kij, ani pas nie zdążyły mi tego wybić z głowy. Gdy poznałem wartość książki zrozumiałem, że niedość samemu wiedzieć; ale trzeba, aby inni poznali to dobrodziejstwo. Niepomny więc na krzywdy, jakich doznałem od „kochanych" kolegów, sprowadziłem z Krakowa z centrali TSL (Towarzystwo Szkoły Ludowej) ruchomy komplet książek. Później wypożyczałem książki kolegom i starszym gospodarzom. Gdy nikłe opłaty za wypożyczanie nie były w możności pokryć kosztów porta i opłat za wypożyczenie kompletu, musiałem pokryć to z własnej kieszeni, a właściwie za ukradzione ojcu zboże. Chyba mi tego dobry Bóg nie policzy za złe, jako że nie na wódkę kradłem.

Później zrodziła się stąd myśl założenia organizacji; w ten sposób doprowadziłem do powstania czytelni TSL, której byłem też prezesem, a później kolejno: sekretarzem, skarbnikiem, bibliotekarzem i znów prezesem. Praca naprawdę szła i dawała rezultaty; były kursy, odczyty, zebrania, przedstawienia, młodzież uczyła się myśleć i działać społecznie. Były zespoły rolnicze i sekcja koleżanek; przeważnie ja dla wszystkich pisałem i układałem instrukcje, regulaminy, odczyty. Po prostu z niczego powstała biblioteka własna, w ilości około 800 tomów. O tym że nasza praca była dobra świadczy fakt, że aż Zarząd Główny TSL nami się interesował. Kilku najzdolniejszych kolegów zostało wezwanych na kurs do Krakowa, a w liczbie tej i ja. Była to nagroda, uznanie mej pracy i zasługi. Rozumiejąc że nie słowa, ale czyn buduje, dałem myśl założenia spółdzielni spożywców, oraz nawiązałem łączność ze „Społem". Akcja ta też się powiodła; dziś „Społem" ma już 4 sklepy w Rakszawie.

Poza tym pracowałem w Ochotniczej Straży Pożarnej; tam też wziąłem się z energią do roboty i rozruszałem nieco tych śpiących rycerzy św. Floriana, a nawet początkowo zostałem prezesem, ale za energicznie wziąłem się do nich, a im tak się spać chciało. Poza tym niejednego nęcił srebrny galon na czapce prezesowskiej. Rychło mi ten zaszczyt odebrano, a zdegradowano do roli sekretarza. Raz przy pożarze oparzyłem sobie nogę. Sparzenie było groźne (3-go stopnia), chorowałem trzy mie-

siące, nikt mi nie dał grosza na lekarza, wtedy zrozumiałem, że lepiej nie igrać z ogniem. Na tym zakończyłem swoją karierę w Straży Pożarnej. I tak praca w organizacjach i na roli, zabrała mi czas do 25-go roku życia. Trzeba się było rozglądnąć za jakąś „spódniczką" — więc upatrzyłem sobie niczego dziewczynę i zaprzysiągłem jej wierność i miłość dozgonną i trzeba się było wziąć do roboty i ratować ojcowiznę. Przy Boskiej pomocy postawiłem okazały dom mieszkalny, oczywiście według wymogów piękna i higieny, że aż ludziska usta z podziwu rozdziawiali. Ktoby się po niedołędze, za jakiego mnie zwykli uważać, tego spodziewał. Teraz jeszcze, jeśli pomoże Bóg i dobrzy ludzie, chciałbym postawić budynki inwentarskie, aby mieć zagrodę wzorową, jak na społecznika przystało, bo nie tylko słowem, ale i przykładem trzeba uczyć. Niestety trudno mi będzie dopiąć celu, bo pieniędzy brak i nie ma gdzie zarobić.

Jak wspomniałem, rola, organizacja, książka, pióro są moimi przyjaciółmi, choć walka o kawałek chleba i zdobycie grosza na niezbędne domowe potrzeby zaprzątają mnie tak, że nie mam wiele czasu na czytanie i pisanie. Jeśli piszę, to nie mam kiedy tego opracować, poprawić i wszystko wędruje do pieca na podpałkę. Trudno, żona i starzy, niezdolni do pracy rodzice, też mają swoje prawa. Jednak idea „Wsi Tworzącej" trafiła mi do serca i głowy i nie daje mi spokoju. Trzeba ją będzie wprowadzić na teren tutejszy, bo to zdaje się najlepsza idea jaką znalem w życiu. Oprócz tego, pod wpływem „Wsi Tworzącej" opracowałem projekt założenia Publicznej Biblioteki Gromadzkiej, tylko ciągły brak czasu i grosza każe mi te zamiary odsuwać, ale muszę swego dopiąć. Tak mniej więcej wygląda moje życie. Czy będzie to pisanie mogło być uznane za życiorys, nie wiem, raczej kartka to z pamiętnika, który zdałoby się napisać, jako że istotnie niemało przeżyłem i przecierpiałem, o czym nawet w części nie nadmieniłem, ale że warunkowym przyjęciem do „Wsi Tworzącej" jest życiorys, czynię zadość tym wymogom i w streszczeniu posyłam, prosząc o przyjęcie mnie do swego grona, o ile na to zasługuję.

Andrzej Zakielarz

II.

Urodziłem się w Szczytniku, gmina Jakubów dn. 27 czerwca 1901 r. Rodzice moi, rolnicy, mieli gospodarstwo 14-morgowe, z czego się utrzymywali. W 1917 r. wstąpiłem do seminarium nauczycielskiego w Siennicy. W rok później, będąc już na trzecim kursie, musiałem przerwać naukę i iść do wojska. Osiemnaście miesięcy walczyłem na froncie, biorąc udział w wielu raidach i szarżach kawaleryjskich w wojnie Polski z Rosją. Po wojnie wróciłem do domu i ożeniłem się.

Szczupła scheda po ojcu nie wystarczała mi na utrzymanie, ponieważ miałem jeszcze czworo młodszego rodzeństwa. Musiałem zarabiać poza domem. Pracowałem sezonowo w tartaku miejskim, gdzie po dłuższej pracy awansowałem na brakarza. W 1939 roku zostałem powołany na wojnę z Niemcami. W 2 pułku saperów odbyłem kampanię wrześniową. W końcu września dostałem się do niewoli niemieckiej, skąd po paru godzinach uciekłem, a po kilku dniach szczęśliwie wróciłem do domu.

W marcu 1941 r. wstąpiłem do podziemnej organizacji walki z okupantem pn. „Związek Walki Zbrojnej". Prowadziłem robotę dywersyjną i sabotażową. Mój syn mi pomagał, pełniąc funkcję gońca i łącznika. Jesienią 1942 r., na skutek donosu zostaliśmy aresztowani przez gestapo. Żandarmi mieli wyraźny rozkaz rozstrzelania mnie na miejscu, bez sądu. Wyprowadzony za stodołę pod ścianę, rzuciłem się na żandarma mającego wykonać egzekucję, wybiłem mu zęby, zabrałem broń i uciekłem. Syn po dwóch dniach katuszy w celi gestapo, został rozstrzelany.

Prawie przez dwa lata pędziłem życie tułacze, walcząc bez przerwy z okupantem. Byłem komendantem sekcji specjalnej i pod przybranym nazwiskiem operowałem ze swoją sekcją na terenie powiatu mińskiego i węgrowskiego, oraz w Warszawie. Mam wiele poważnych i udanych robót dywersyjnych na swoim koncie. W lipcu 1944 r. wróciłem do domu i tu zastałem Armię Czerwoną i wyzwolenie. Obecnie pracuję na swym pięciohektarowym gospodarstwie.

Piotr Chabiera

III.

Urodziłem się dnia 29 sierpnia 1914 r. we wsi Zofian pow. lubartowskiego. Ojciec mój był rolnikiem, toteż młodość swoją spędziłem w rodzinnej wiosce przy posługach i pracy w gospodarstwie. Tam chodziłem do szkoły powszechnej przez pierwsze dwa lata, a raczej zimy; następne lat trzy — do sąsiedniej wioski — Starościn. Po ukończeniu pięciu oddziałów chciałem się uczyć dalej, jednak z powodu braku odpowiednich funduszów pozostać musiałem w domu i jak inni pracować na roli.

W roku 1934 powołany zostałem do służby wojskowej, po powrocie z wojska zacząłem się uczyć szewstwa, ponieważ ziemi w rodzinnym gospodarstwie nie było tyle, aby wszyscy mogli na niej znaleźć pracę i utrzymanie. W zawodzie szewskim pracowałem aż do sierpnia 1939 r. do czasu mobilizacji. Zostawiłem wtedy swoje kochane Puławy, w których mieszkałem, i poszedłem na wojnę. Dostałem się do niewoli i przez cały czas jej, to jest przez pięć i pół lat przeszło, siedziałem za drutami.

Po zakończeniu działań wojennych powróciłem do kraju i z konieczności dalej pracować muszę przy warsztacie szewskim, chociaż ten zawód mi nie odpowiada, gdyż wolałbym pracą swą służyć całemu narodowi, a przede wszystkim tej warstwie, z której pochodzę. Wolałbym, żeby praca moja była trwała i niezniszczalna i była bodźcem dla rozbudzenia drzemiących jeszcze dusz — a bucik choćby najśliczniej wykonany — ulega zniszczeniu... Tymczasem jednak, jeszcze się muszę godzić ze swym losem i do jakiegoś czasu robić tylko buty.

Ignacy Góral

PIOTR WYROBEK

W SPRAWIE ZBIERANIA PIEŚNI

I.

Pisarze chłopscy powinni poczytywać sobie za obowiązek wykorzystywania wszelkiej sposobności do zbierania śpiewek i melodii ludowych. Twórczość ta dostarczyła wielu znakomitym poetom i muzykom wątku do dzieł nieśmiertelnych. Gdyby więc choć w drobnej części została ona wykorzystana, możnaby wspólnymi siłami stworzyć dzieło godne włożonych w nie bezimiennych trudów, przynoszące wsi dużo tych korzyści, których pozbawiła je wojna przez zniszczenie księgozbiorów.

Dziś, wieś nie ogląda się tylko za książką do czytania — dla starszych i dorastającej młodzieży, ale także za śpiewnikiem. Prócz powieści, również i pieśń ludowa jest dla wsi chlebem powszednim. Przekazywana przez pokolenia nie została tak zabezpieczona, aby ją po ostatniej wojnie w stanie nieskażonym przekazać pokoleniu, które weszło w życie. Dlatego słusznym jest domaganie się przez wieś śpiewnika pieśni ludowych. Ja, ze swej strony, obawiam się by pieśń ludową nie spotkał los taki, jakiego doznał piękny i charakterystyczny strój (ludowy) narodowy, który we wszystkich regionach ustąpić musiał tandetnej kapocie, może tańszej i praktyczniejszej; jednak ten strój możnaby było zachować, gdyby ktoś popracował nad jego upraktycznieniem.

Nie ma chyba wsi, w którejby nie znalazł się śpiewak, śpiewaczka — lub układający pieśni ludowe improwizator. Takich trzebaby zatym wyszukiwać i zachęcać do zebrania pieśni ludowej. Niemniej należałoby wyszukać tych, którzy mają już spisane pieśni, tudzież takich, którzy potrafią komponować, lub znają melodie, oraz znają tańce ludowe danej okolicy. Adresy tych osób powinno się trzymać w ewidencji.

Pieśni ludowe mogą też być śpiewane po kościołach. W Osielcu, skąd pochodzę, około roku 1887 spodobała mi się bardzo pieśń do Matki Boskiej, ułożona przez malarza i „pisarza ludowego", Antoniego Stopę. Brat jego, Andrzej Stopa, był tam organistą i skomponował do niej melodię. Śpiewano pieśń ową na chórze, za życia tego organisty. Tekst tej pieśni podałem w roku 1934 do gazetki „Wieś — jej pieśń" i tu go powtarzam:

O Ty Najświętszta — o Niepokalana,
Matko jedngo, wszechmocnego Pana,
Który utworzył te świata ogromy
I zeszedł przez cię na ziemię widomy,
Jak po promieniu najwyższego słońca.
O ty najczystsza Miłości rodząca!
Niebo ma jedną Najpiękniejszą — Ciebie —
Ty jesteś słońcem w ideałów niebie.
Od Ciebie się Bóg odbija, kryształi
I blaskiem tęczy najpiękniejszej pali;
Od Ciebie mędrzec wygląda natchnienia,
Kaleka zdrowia, a grzesznik zbawienia.

Melodii, na którą ta pieśń była w kościele śpiewana podać nie umiem, ale można ją też śpiewać na nutę pieśni: „Ty, której berła ląd i morze słucha". Oprócz śpiewanych w kościołach, jest wiele pieśni ludowych, poważnych, świeckich, czy też wesołych; tudzież pieśni o miłości. Są też pieśni pijackie oraz te, śpiewano na weselach, na ucztach i biesiadach; śpiewki wojackie, robotnicze, rzemieślnicze, furmańskie pasterskie, zbójnickie, myśliwskie, rybackie, a także śpiewane w różnych stanach i zawodach — o sierotach, wojakach, cyganach, Żydach, pasterzach, złodziejach itp.

Są też kołysanki, pieśni duchowne (nie kościelne), jak te śpiewane przy szopce, kolendy, czy pieśni noworoczne. Co do kolend, to trafiają się na wsi takie samorodne, ułożone przez pastuszków, jak ta tu kolenda, którą zapamiętałem z Osielca. Do naszej chałupy przyszli w roku 1886 kolędnicy z szopką i muzyką na skrzypcach, basach, klarnecie, flecie. Stanęli przed oknem i po zapowiedzi powitalnej w słowach:

„Pochwalony Jezus Chrystus!
Przyszliśmy tu po kolędzie
Stanęliśmy wszyscy w rzędzie,
Niech wam to też za przykre nie będzie".

tak zaczęli śpiewać przy muzyce:

— Na zagrodzie u Hajosta
stoi sosna — gdzie urosła —
Na sośnie złoto rośnie.
Złoto rośnie — złoto będzie —
Nawiedzamy po kolędzie —
Dobrych tu ludzi,
Bo anioł budzi!
My tu z wozem nie jedziemy,
Ani z workiem nie idziemy —
— Co dacie to weźmiemy!
(Suchej rzepy, bo niechcemy)
Lecz suchy serek weźmiemy,
Bo mamy dobre zęby!
Ze stajni dacie nam jagnięć,
Z komory gorzałki garniec:
— Bo kolendę dać trzeba!

Po tych zapowiedziach zaśpiewali kolędę, której daję początek:

O północy, aniołowie
byli wczoraj na dąbrowie.
Na pastuszków wołali:
„Któż tam pójdzie oddać chwałę.
Przywitać dziecinę małą —
I Maryję Matkę Jego!“
Pójdą wszyscy Osielczanie,
Wieprzanie i Kojszewianie:
Ludzie z świata całego!

II.

A teraz wskazówki dla zbieraczy: 1) Zbierający pieśni ludowe winien zaznaczyć czas i miejsce, z którego dana pieśń pochodzi, oraz czy śpiewano ją w karczmie, czy wieczorami na ulicach, czy przy uroczystościach rodzinnych w domu, na weselach, chrzcinach, imieninach, pogrzebach, przy robotach w polu, przy wyruszaniu z owcami na hale, przy powrocie z hal, przy pracach rolnych w czasie orki, kopania, żniwa (na t.zw. tłokach, „tłukach“), przy rąbaniu i obrabianiu drzewa, przy międleniu i przędzeniu lnu, przy szyciu, hafcie, tańcu; oraz podać czy tym śpiewom towarzyszyły jakie ruchy, gesty i opisać je. Zwracać uwagę na gwarę ludową. 2) Wygłaszane w czasie uczt weselnych, na chrzcinach, pogrzebach, lub w czasie czuwania przy zmarłym, rymowane i nierymowane przemowy — należy wytasować i podać tekst tych przemówień. 3) Co do pieśni podać, czy bywają śpiewane chóralnie i na więcej głosów, czy też na jeden — i czy tym śpiewom towarzyszy akompaniament muzyczny skrzypiec, mandoliny, piszczałki, fletu, trąby, harmonii; gitary, liry, kobzy itp. A gdyby znalazł się ktoś, kto by potrafił odtworzyć melodie pieśni, śpiewanych luźnie, czy zespołowo, np. przy tańcu, należy z tej okazji skorzystać i poprosić go o wykonanie nut.

Zbieracz pieśni ludowych winien też zwracać uwagę na zabawy dziecinne, ich rodzaj odmienność; oraz na pieśni przy takich zabawach śpiewane przez bawiące się dzieci. Winien zwracać uwagę i na amatorskie przedstawienia sceniczne, świeckie i religijne, jak np. szopki, jasełka — „Trzej królowie“, jakie w okresie świąt Bożego Narodzenia się odbywają: z szopką, turoniem, oraz na zwyczajowe obchody zapust, ostatków, niedzieli kwietnej, świąt Wielkiejnocy — oraz sobótek, na Zielone Świątki, albo na św. Jana obchodzonych.

Zbieracz winien opisać: jakich instrumentów muzycznych używają w okolicy, której zwyczaje opisuje; czy tylko skrzypiec, basów, klarnetów, fletni, czy też kobzy, liry; harmonii ręcznej; czy też harmonijki ustnej, trąby, piszczałki, itp.; oraz co grywają muzykanci, czy tylko tańce, marsze, hejnały; kto grywa i kiedy?

Wreszcie opisać tańce i podać ich nazwę, opisać przebieg każdego tańca, podając miejscowość, gdzie i przy jakiej okazji, oraz przy jakiej muzyce tańczą. Byłoby wskazane wybadać, czy tam dawniej tańczono inne tańce — czy śpiewają przy tańcu, czy tupią?

Byłoby wskazane zachęcanie młodzieży wiejskiej:

a) do zbierania materiału twórczego wsi, znajdującego się w pieśniach ludowych, legendach, bajkach, podaniach praojców— oraz;

b) do opisania zwyczajowych obchodów i obrzędów ludowych w ciągu całego roku zaobserwowanych.

Bardzo byłbym zadowolony gdyby moje uwagi spowodowały odgłos w następnych numerach „Miesięcznika Ludowego“, tym bardziej zaś wiadomość, że ludzie się zbieraniem pieśni zajmują.

STEFANIA RYBIEJSKA

OWOCE POSTĘPU

Kultura posiada wielką ilość stopni i nie jest sama w sobie sprawą łatwą. Pojęcie kultury ulega często złośliwemu wypaczeniu, czego przykładem jest kultura narodu niemieckiego, który wszystkie wartości tego słowa zamienił w straszliwe zło, i czyny przed którymi zawahałby się nawet człowiek pierwotny.

Chłopi w Polsce z nocy pańszczyźnianej wyszli z martwą duszą. Martwość objawiła się w braku własnej inicjatywy, w gospodarce na sposób prapiastowski i w całości bytowania. Chata - lepianka, obórka dla rachitycznego bydła, a człowiek zapracowany od świtu do późnej nocy, odżywiony nędznie, odziany w łachy rzadko prane. Przyświecał sobie szczapą, a później kagankiem naftowym. Z dobrodziejstw przemysłu — i postępu technicznego nie korzystał przez długie lata popańszczyźniane. Dopiero pod koniec wieku dziewiętnastego nastąpiło częściowe uświadomienie polityczno - społeczne.

Jeżeli mówić o dzielnicach, to ruch ideowy był największy w byłej Galicji, mniejszy w Kongresówce, podniesienie stopy życiowej największe w zaborze pruskim.

Po pierwszej wojnie światowej, odrodzona Polska nie wiele dała chłopu, a w ramach bytu w wolnej ojczyźnie zbyt mało miał on możliwości stworzenia kultury i postępu. Następnie, bieda spowodowana kryzysem gospodarczym, zniwelowała najskromniejsze pragnienie poprawy.

Nadal chatka - lepianka, łach na grzbiecie, a jałowy, często nawet nie okraszony ziemniak na stole. W takich warunkach cywilizacja nie powstaje. To międzywojenny okres nędznego bytu. W otchłani okupacyjnej chłopi zdali egzamin dojrzałości politycznej, a nawet etycznej, bo ujemne cechy charakteru, tylko w niektórych okolicach występowały jaskrawo, gdzie przed wojną nie było żadnej organizacji ludowej, a decydujący wpływ miała plebania i dwór. Wyzwolenie, przyniosło ogromne zmiany, ale nie zmieniło oblicza wsi: chatki, te same błotniste dróżki. Oczywiście — zbyt krótki okres dzieli wieś od minionej burzy dziejowej.

Pierwszy stopień postępu na wsi to elektryczność. Każdy dobrze o tym wie, kto przy naftowej lampce musi pisać, musi odrabiać lekcje szkolne, lub się dokształcać. Zapoczątkowana już elektryfikacja musi objąć w jak najszybszym tempie wszystkie wsie i przysiółki. W kolejnym zaś następstwie winna iść nawet z czasem kanalizacja wsi, bez której nie można mówić o higienie, tak koniecznej przy pracy wiejskiej. A później — dom.

Nie należy się lękać tego, że jeśli chłop w Polsce będzie mieszkał, jak chłop szwajcarski, czy duński, zatraci swojskie cechy, a piastowska wieś straci tradycyjny charakter. Sielskość opiewana przez poetów, jest miła, ale tylko dla turysty - mieszczucha, nigdy zaś dla tego na którym ciąży; również strój tradycyjny, chłopski, który bawił oko pana i odróżniał mieszkańca wsi od miasta, powinien ulec zmianie. „Bajeczna kolorowość" może się prezentować w dorocznych obrzędach zwyczajowych, jak również to wszystko, co w zakresie pieśni, tańca i obyczaju, chłop na przestrzeni wieków wytworzył. Nowoczesny mieszkaniec wsi, ten przyszły twórca, nie może pozostać w zachwycie jedynie dla melodii krakowiaka, czy kujawiaka. Chłop — obywatel ojczyzny, syn ziemi — nie może gardzić melodiami utworów Chopina, Lista, Beethovena i Mozarta. Musi umieć się wzruszać i oceniać nie tylko głos domorosłego śpiewaka, ale także głosy mistrzów. A kiedy dodać do tego prozę wielkich pisarzy i poezję wieszczów, jego pełnia kulturalna będzie rzeczywista.

Chłopi muszą osiągnąć ten stopień, który był im przez całe wieki niedostępny. Powinni pamiętać, że nie są narodem — w narodzie, ale jego częścią składową, tak jak mieszkańcy miasta. Dlatego w rozwoju swoim nie mogą iść po linii uwypuklenia swojej odrębności, którą stanowiły prymitywne warunki bytu.

Błędne jest założenie, że wieś i miasto to dwa krańcowo odmienne pojęcia, gdyż jest droga łącząca wieś i miasto.

Paweł Hulka - Laskowski w „Moim Żyrardowie", pisząc o nędzy i ciemnocie chłopsko robotniczej tak powiada: „Harfa Chopina była dla mego ojca nieznaną, pieśni Mickiewicza nie dotarły do jego uszu, nie radowały się jego oczy wielkich mistrzów, malowidłami, nie widział nigdy cudów przyrody alpejskiej i bezkresu morza. I nie miał pojęcia o świecie. Umarł w mroku swej nieświadomości i nie dowiedział się nigdy, że był chlebodawcą i pracodawcą swoich panów. I mniemał, że sam Bóg nakazał dochować mu wierności nie zdradzić ich dla socjalizmu, dla sprawiedliwości społecznej, dla piękniejszego i lepszego świata"....

Niechże współczesny chłop nie umiera w nieświadomości, że postęp techniczny, oraz wszelkie dobra kultury są też — jego udziałem.

LUCJAN MALICKI

O towarzystwo popularyzacji czytelnictwa

Dlaczego wieś nie chce czytać? Starałem się ten problem w swojej okolicy rozwiązać praktycznie, przez rozpowszechnianie prasy. Szło to ciężko, bowiem wieś jak i poszczególne instytucje czy urzędy nie były odpowiednio nastawione.

Dziś ta kwestia wydaje się już być dojrzałą do rozwiązania, a instrumentem organizacyjnym winno być jakieś np. Towarzystwo Popularyzowania Czytelnictwa. W skład tego Towarzystwa winni wejść ludzie, którzyby zaniechali wszelkiej propagandy, a za cel postawili sobie rozpowszechnienie książek i gazet na wsi. Bo chłopi nie znoszą żadnej propagandy i do pism reklamowanych ustosunkowują się negatywnie. Wiele jednostek narzeka na prasową polemikę stronnictw politycznych, przy nieznajomości rzeczywistych potrzeb ludu. Należałoby podejść do tej sprawy obiektywnie. Zdobyć sie na analizę.

Wieś czytała więcej w czasie okupacji, niż teraz. Wówczas interesowały ją wypadki wojenne, podawane często w fałszywych komunikatach. Przyczyniło to się do tego, że dziś słyszymy zdanie: „Po co czytać, wojna skończona, a co ma

być to i tak będzie". I ci ulegają też pierwsi podszeptom „niezadowolonych". Później stwarza się już ogólny klimat i prasa nie dociera w ręce właściwe, gdyż ludzie ci są już bardzo często nastawieni do walki przeciw sobie samym i wierzą a nie wierzą w słowo drukowane. Należałoby zająć się grupą tych, którzy przestali czytać, bodaj najliczniejszą, która krępuje działaczy ludowych i młodzieżowych.

Dla warstwy tej trzeba wydawać gazetę, któraby potrafiła oddziaływać, zainteresować, zmusić do czytania swą obiektywną i rzeczową treścią. Byłoby to chyba trudne, ale jest konieczne. W piśmie tym trzeba w sposób prosty omawiać zwłaszcza zagadnienia gospodarcze, wydarzenia polityczne w kraju i w świecie, komentowane jednak w sposób zrozumiały i bezstronnie. Gdy w piśmie rozprawia się o nawozach sztucznych, a chłop nie może ich dostać, to denerwuje go to. Sprawozdania z terenu często kłócą się z prawdą i nie mówią o tym zastosowaniu w praktyce mądrych teoretycznie ustaw. Trzeba wiedzieć i o tym, że są chłopi, którzy nie mają, albo mają tylko słabe pojęcie o partiach politycznych, a nawet o Z.S.Ch. i Z.M.W. „Wici" i właśnie dla nich trzeba to wydawać.

W czasopiśmie poświęconym wsi nie powinno braknąć biografii działaczy ludowych, którzy bardzo mało są chłopom znani, oraz szczegółowej historii rozwoju. Należy powoli uświadamiać wsi jej zacofanie i budzić pytanie, dlaczego pozostała w tyle, o cały wiek, w stosunku do wsi w innych państwach europejskich, pod względem oświaty, kultury i cywilizacji.

Jeżeli takie czasopismo pójdzie na wieś, to po pewnym czasie nie będzie chałupy, do której by ono nie dotarło. Nie będzie gospodarza, lub gospodyni, którzyby nie mieli mu coś do zawdzięczenia.

Gdy przeorze się najbardziej jałowy ugór pójdzie już łatwiej, tylko trzeba zorganizować kolportaż. Tu zaś ma znów pole do popisu Towarzystwo, któreby starało się objąć ustalonym zgóry planem wszystkie ośrodki, organizując kioski ludowe przy starostwie, gminie, kościele, na rynku, targowisku, w świetlicy.

Kioski te, winny posiadać na czas wszystkie czasopisma, które mają jakikolwiek związek z wsią, a przede wszystkim powyżej projektowane. W kioskach tych można by rozprowadzać z powodzeniem również książki a zwłaszcza wydane przez Towarzystwo, po niższej niż w mieście cenie.

Do zorganizowania kiosków przyczyniłyby się Rady Narodowe, organizacje, partie, różne instytucje, oraz nauczycielstwo. Wskazanym byłoby urządzanie zebrań gminnych, gromadzkich i referowanie kwestii czytelnictwa na wsi.

Ilu to chętnych znajdziemy na wsi do współpracy, choć na pozór zdawałoby się inaczej. Nawet ci, co chodzą w ladajakiej odzieży, w starych chałupach mieszkają, też będą współpracować i tworzyć nowe życie.

W sierpniu ubiegłego roku, będąc na wsi, zastałem kolegę piszącego w gaiku koło chatki. Witam go tymi słowy: — „Co porabiasz?" — „Pise tu takom śtuke" — powiada spokojnie.

Takich samorodnych autorów jest dużo; trzeba wysiłki ich poprzeć, a oni więcej mogą zrobić, dla ożywienia czytelnictwa, ci zapaleńcy, niż propaganda. Lecz tu trzeba organizacji, sama idea nie wystarczy. Nauczyciele szkół powszechnych, uniwersytetów ludowych, nie licznych gimnazjów na wsi, spełnią lepiej swoją misję, gdy będą tym zrzeszeniem związani. Nie zostaną w tyle i urzędnicy samorządu terytorialnego, których autorytet na wsi jest bezsporny. Towarzystwo to, poparte więc przez wszystkie instytucje od najwyższych szczebli, aż po samą wieś, miałoby środki finansowe, komunikacyjne, techniczne na prowadzenie akcji szerokiej, planowej, wzrastającej w coraz większe znaczenie.

KAROL SKOWRON

Wieś Udrycze w czasie wojny

Poniżej zamieszczamy pierwszą część dokumentarnego opisu życia jednej wsi w czasie okupacji i udziału tamtejszych chłopów w walce z wrogiem (Red.).

Wioska o tej dziwnej nazwie jest oddalona od Zamościa o 12 km w kierunku północno-wschodnim i tak samo oddalona od wszystkich ważniejszych dróg i arterii komunikacyjnych. Osłonięta od południa, wschodu i północy wyniosłymi wzgórzami, częściowo pokrytymi lasem. Wyżyny te przechodzą ku zachodowi w równinny teren, łączący się z niziną Wieprza.

Początkowych osiedli, t. zw. tabelowych liczyła wioska 68, lecz z biegiem lat rozrosła się i z chwilą wybuchu wojny liczyła 233 gospodarstw o 280 rodzinach (1430 dusz).

Gospodarstwa tu przeważnie średnie i karłowate, gdyż według kroniki wiejskiej z r. 1938, na 233 gospodarstw przypadało do 5 ha — 139 gospodarstw, od 5 do 10 ha — 85 gospodarstw, oraz powyżej — 9 gospodarstw. Jak z powyższego wynika, Udrycze przedstawiają przeciętny typ polskiej biedoty wsiowej.

Różnorodność gleb od borowiny i piasków zacząwszy, a na bielicach i pagórkowatych lasach

skończywszy, zawiła szachownica i duże odległości do poszczególnych poletek, zmuszały oddawna Udryczan do szukania dróg wyjścia. Jedną z pierwszych na którą weszli, to współdziałanie. Górzystość i niedostępność terenu w dużej mierze ograniczała samodzielność i zmuszała ludzi do solidarności. Zjawisko to, ujęte następnie w twarde ręce, stworzyło poważny system udryckiej spółdzielczości. Różne były drogi i koleje jej rozwoju. Były tu górne wzloty i bolesne upadki. Odosobniony w zaklętej dziurze, bez Blizińskich i Tyczyńskich, posłuszny własnemu instynktowi, dźwigał się chłop z upadku i sam szukał nowych dróg do lepszej przyszłości. W roku 1939 we wsi działały następujące instytucje gospodarczo-spółdzielcze, oraz kulturalno-oświatowe: spółdzielnia spożywców z dwoma sklepami, Kasa Stefczyka, młyn motorowy, cegielnia spółdzielcza, kółko rolnicze, filia mleczarni zamojskiej, 7-oddziałowa szkoła powszechna, straż pożarna, 2 koła młodzieży („Wici" i „Siew"), świetlica straży pożarnej, wreszcie kuźnia postępu i kultury naszej wsi — świetlica powszechna, oraz czytelnia. Nad tym wszystkim czuwała i kierowała nimi) Rada oświatowo-gospodarcza, zorganizowana na miejscowych wzorach i zasadach.

Pracami poszczególnych instytucji i organizacji kierowało (według kroniki wiejskiej w roku 1939) 68 członków zarządów i rad. Prace te obejmowały niemal całokształt potrzeb wsi w dziedzinie gospodarczej i kulturalno-oświatowej. Końcowym etapem planowo ujętych poczynań gromady, było dokonanie w r. 1937/8 nadzwyczaj trudnego dzieła komasacji i melioracji gruntów i łąk. Przedsięwzięcie to dzięki wysokiemu uświadomieniu społecznemu wykonano w tempie błyskawicznym. W roku 1938 podjęto budowę nowego, obszernego domu ludowego, lecz wojna przerwała jego wykończenie.

Wojna nie spadła niespodzianie. Gęsta sieć anten radiowych (52), szeroko rozpowszechnione czytelnictwo gazet oraz stałe organizowanie pogadanek informacyjnych, pozwalało czuć puls życia. Zachowanie ludności w chwili wybuchu wojny było poważne i spokojne. Już jednak chaotyczność pierwszych komunikatów z placu boju wywoływała niepokój, a gdy zamilkły głośniki, ludność ogarnęło osłupienie i wątpliwości. Co się dzieje? Co słychać? Wyjaśnienie znalazło się w olbrzymich kolumnach różnego rodzaju pojazdów, pędzących w panicznym popłochu na wschód, oraz huk pierwszych bomb lotniczych spadających na Zamość i okolicę. W Lublinie i Krasnystawie odbywa się próba skupienia rozbitych oddziałów, a tymczasem niespodziewanie, jak grom z jasnego nieba, spada wiadomość: Niemcy w Zamościu! Jeszcze kilka potyczek w lasach południowo-wschodniej Zamojszczyzny, poczym zapanowała cisza.

Pod niemieckim butem

Wiara w szybkie działanie sprzymierzeńców słabła z dniem każdym. Pozostała jedynie wiara w siebie i w przeznaczenie. Pozwolę tu sobie na małe wytłumaczenie. Użyłem poprzednio terminu „wiara w siebie", gdyż nie mogłem znaleść odpowiedniego określenia. Mam na myśli pewien pierwiastek duszy chłopskiej, który jest tak mało znany. Pokrewny jest on samopoczuciu, lecz nie ulega znaczeniu na zły i dobry. Ot poprostu chłop w najgorszej chwili, gdy zawodzą go okoliczności, wierzy w siebie. W najgorszym nieszczęściu, stan ten, jak deska ratunku przychodzi mu w pomoc. Lecz wróćmy do przeżyć ludności udryckiej. Zbiorowisko to dość liczne, a więc i o różnym stopniu rozbudzenia świadomości narodowej. Różność stopni uczuć narodowych określały granice: od najwyższego patriotyzmu, poprzez bolesną rezygnację, aż do granic pozornej bierności. Pozornej, podkreślam, gdyż nie spotkałem w Udryczach człowieka, który by boleśnie nie odczuł klęski. Znikome odpadki, przeważnie elementu napływowego, nikły bezwidocznie w patriotycznie nastrojonej ogólnej fali ludności. Okres pierwszy zaznaczył się jako okres bezwładu. Zamarło życie na wszystkich odcinkach. Przerwano przebudowę. Ludność przywykła do działania wg. gromadnie określonego planu, szukała jakiegoś punktu oparcia, a gdy go nie znajdywała, popadała w stan rezygnacji i wyczekiwania. Zamilkły wesołe śpiewki i rezolutne pogwarki. Miejsce ich zajęła poważna zaduma i troska. Wstępne działania przejawiały się jednak już od pierwszych chwil w świadomości nieuchronnej walki. Przeczuwano, że będzie to walka na śmierć i życie. Skrzętnie zbierano wszelką broń, amunicję i inny sprzęt wojenny. Plon tej akcji nie był obfity, gdyż nie było na tym terenie większych działań wojennych, ograniczał się do kilkunastu t. zw. kabeków (karabinów), dwu erkaemów, jednego cekaemu oraz paru pistoletów. Na Pańskiej Dolinie ukryto dwa moździerze, parę skrzynek granatów, oraz dwa aparaty telefoniczne.

Cisza i bezwład panujące w okolicy wywoływały w Udryczach stan zdenerwowania; przecież powinno się coś robić.

Rozszerzyłbym nadmiernie ramy niniejszej historii opisywaniem miejscowych działaczy. Zbyt długa byłaby to litania. Ograniczę się jedynie do wymienienia tych, którzy w przedmiocie niniejszej pracy i w opisywanych wypadkach byli aktorami głównych ról. A więc kolejno: Tadeusz Paul — pierwszy organizator „Rocha" na teren Zamość-Północ; Dziuba Józef — zastępca komendanta powiatowego L. S. B.; Szczur Roman — kom. gminny A. K.; Adela Bakuniak-Ostowiczowa — kierowniczka punktu propagandowego na gminę; Dziuba Helena — kier. punktu na 4 powiaty, oraz zastępczyni komendantki pow. L. Z. K. „Żywia"; Skowron Karol — zastępca Tadeusza Paula, oraz przewodniczący piątki gminnej; Baran Walerian — zastępca kom. gminnego; Bochniak Bolesława — sanitariuszka-łączniczka i sanit. B. Ch.; Skowron-Jakimiakowa Celina — kom. gromadzkiej piątki oraz sanitariuszka i łączniczka B. Ch.; Główka Ludwik — łącznik Kom. Pow. B. Ch. Michel Józef — łącznik Kom. Pow. B. Ch. Osobno należałoby podkreślić działalność na terenie Udrycz Stefana Dybowskiego. Uczynię to w innych okolicznościach.

Pierwsze prace organizacyjne

Rozpoczął je na terenie powiatu zamojskiego płk. Zdzisław Maćkowski — „Józef", który w Zamościu, we własnym mieszkaniu, urządził centralę „Roch". W piwnicy tego domu zainstalował tajną stację radiową. Na konferencji organizacyjnej po zaprzysiężeniu uczestniczących w liczbie 7 osób, ustalono następujące wytyczne działania.

1. Powiatowa komórka stanowi samodzielną organizację ruchu chłopskiego; celem jej walka o wolność i Polskę Ludową do czasu powstania komórek organizacyjnych wyższych szczebli, o pokrewnym obliczu ideowym. 2. Należy tworzyć sieć organizacji gminnych i gromadzkich, o charakterze militarnym i politycznym, przyjąwszy system piątkowy. 3. W razie powstania organizacji o charakterze ogólno-wojskowym, oddamy do jej dyspozycji zorganizowaną przez „Rocha" młodzież, z zastrzeżeniem, że będzie ona stanowiła oddzielną grupę p. n. „Bataliony Chłopskie". Dla swej wyłącznej dyspozycji „Roch" zorganizuje oddziały Straży Samorządowej: 4. Organizacja „Rocha" będzie prowadzić pracę, zmierzającą do: a) uświadomienia obywateli; b) utworzenia demokratycznego ustroju przyszłej Polski. „Roch" będzie tworzył i przygotowywał w tym celu odpowiedni aparat administracyjny, współdziałał w przyszłym tworzeniu sił zbrojnych i czuwał, by nie wkradły się tam elementy sanacyjne.

Konferencja powyższa odbyła się 18 listopada 1939 r. Na niej właśnie otrzymaliśmy wspólnie z T. Paulem misję zorganizowania gminnych piątek politycznych rejonu 3-go i 4-go, obejmującego 4 gminy, a mianowicie: Stary Zamość, Skierbieszów, Wysokie i Nielisz.

Rok 1940

Dla ścisłości, która zasadniczo powinna mnie obowiązywać, powracamy do Udrycz w lutym 1940 roku. Zastajemy tu sporo dokonanych prac organizacyjnych. A więc jest powołana piątka polityczna, w skład której weszli: Skowron Karol, Stępniak Stanisław, Fronczak Henryk, Skowron Józef i Magryta Jan. Jest również piątka bojowa, której komendantem zostaje Szczur Roman. Zorganizowano również piątkę gminną, pod komendą Jana Paula. Działała już podówczas komenda powiatowa, której łącznikiem mianowano Helenę Rękasównę-Paulową. Kurierką powiatowej komendy zostaje Zofia Bakuniakówna, którą później zastępuje siostra Adela. Nawiązano jaki taki kontakt ze światem, a to za pomocą stacji radiowej „Rocha", ściśle mówiąc, płk. Maćkowskiego. Stamtąd codziennie otrzymywano komunikaty radiowe o wydarzeniach na szerokim świecie. Skąpe i nie wesołe to były wiadomości, lecz odpowiednio redagowane dawały pewną orientację. Z czasem, po zorganizowaniu gromadzkich piątek, punkt udrycki musiał w wiadomości te zaopatrywać rejon całej gminy. Polegało to na rozpisywaniu otrzymanego komunikatu z Zamościa w ilości potrzebnej do obdzielenia zgłaszających się z terenu gminy łączników. Zadanie to polecono nauczycielce miejscowej szkoły — Bieleszance.

Pracy z tym związanej było sporo, co zmuszało niejednokrotnie do kooptowania sił pomocniczych, co znów niechętnie było widziane ze względów konspiracyjnych przez gromadzką piątkę polityczną. Względy konspiracyjne były również punktem tarć i nieporozumień pomiędzy przedstawicielami Udrycz, a duchowym przywódcą powiatowej piątki politycznej „Rocha", płk. Maćkowskim. O ile tenże parł do szybkiej budowy organizacji wojskowej, oraz komórek organizacji politycznych, licząc na błyskawiczne zmiany, o tyle my zalecaliśmy powściągliwość i ogledność, obliczając działanie na dłuższy okres. Wysuwaliśmy obawy, że przedwczesna rozbudowa dużych oddziałów politycznych i wojskowych, może spowodować duże i bezpożyteczne straty. Zasadniczo godziliśmy się, że należy robić przygotowania na symbolicznie określony czas. 5 minut przed 12-tą godziną, lecz w ustaleniu punktu wskazówki różniliśmy się bardzo wiele, bo o parę godzin.

Wracając do spraw wioskowych, należy podkreślić, że zaistniały tu poważne zmiany, związane z tym, że Niemcy dostatecznie już odsłonili swoje oblicze i cele. Wzrastała również i niemiecka buta, która miała swe pobudki w sukcesach militarnych. A sukcesy te były olbrzymie. Norwegia, Dania, Holandia, wreszcie Belgia. Pozostawała Francja, ku której z ufnością i nadzieją zwracały się serca nasze. Lecz nie długo; i tu punkt oparcia usunął nam się spod nóg. Huk dział wiwatowych, jak i dzwonów, obwieścił jeszcze jedną gorzką wiadomość — Francja padła! Wszystko co niemieckie było zwariowane — oszołomione zwycięstwem. A my?

Oczywiście odarci z wszelkich złudzeń i nadziei. Lecz z klęski Francji zdobyliśmy jeden, bardzo cenny skarb. Oto odzyskaliśmy utraconą dumę narodową! Ta świadomość, żeśmy potrafili najdłużej utrzymać ciężar nawały germańskiej, wróciła nam utraconą równowagę. Na marginesie tych wspomnień, nie od rzeczy byłoby utrwalenie odbytej w owym dniu konferencji u ówczesnego kierownika szkoły Stefana Dybowskiego. Naturalnie, z powodu braku zezwolenia jedynego pozostałego już tylko przy życiu jej uczestnika, p. Dybowskiego, obecnego ministra kultury i sztuki, nie mogę ujawnić szczegółów. Podkreślić jednakowoż muszę jej zbawienny skutek. Odzyskaliśmy równowagę ducha. Pokrzepieni maksymą, że ostatnia bitwa decyduje o zwycięstwie, z wiarą w sprawiedliwość opatrzności, pozostawaliśmy w oczekiwaniu tej ostatniej bitwy. Któż przypuszczał, że rozegra się ona za cztery lata?

Wkrótce po opisanych wyżej wypadkach mieliśmy możność stwierdzić, że zabita od świata deskami nasza wioska znalazła u Niemców powody do specjalnego zainteresowania i wyróżnienia. Powodem tym było kilka rodzin o niemieckim nazwisku. Młody chłopiec Kolinger, z urodzenia lwowianin, chodził i opisywał rodziny, które brzmieniem nazwisk zbliżone były do niemieckich, lub spokrewnionych z nimi rodzin polskich. W ten sposób rozpoczęło się tworzenie listy udryckich volksdeutsch'ów. W tym też roku odbyła się —



FLISACY SĄDECCY NA DUNAJCU

W DOLINIE JAWORZYNY KRYNICKIEJ W BESKIDZIE SĄDECKIM



ZIEMIA SĄDECKA

JEDNYM Z NAJBOGATSZYCH W FOLKLOR I ZABYTKI KULTURY LUDOWEJ REGIONÓW, JEST ZIEMIA SĄDECKA.

KRAJOBRAZ JEJ — TO DOLINA DUNAJCA I POPRADU, ZAMKNIĘTA GRANIAMI BESKIDU SĄDECKIEGO.

ZACHOWAŁY SIĘ TU STARE FORMY OBRZĘDOWE, ORAZ STROJE I ZDOBNICTWO, WYSUWANE PRZEZ ETNOGRAFIĘ NA CZOŁOWE MIEJSCE.

LUD SĄDECKI ZACHOWAŁ RÓWNIEŻ SWOJE ORYGINALNE TAŃCE, JAK KRZYŻAK, SIADANY, SZURAK, ORAZ ZABAWY LUDOWE.

MNÓSTWO CHAT, KAPLICZEK I KOŚCIOŁÓW ZABYTKOWYCH, GROMADZI OBRAZY NA SZKLE, RZEŹBY I DRZEWORYTY LUDOWE, RÓWNIEŻ CENIONE PRZEZ NASZYCH NAUKOWCÓW. WSZYSTKIE ZDJĘCIA ZAWDZIĘCZAMY KOLEDZE MIECZYSŁAWOWI CZCIBOROWI - CHOLEWIE, NASZEMU REGIONALIŚCIE.



HAFT NA CZEPCU GÓRALSKIM Z SĄDECKIEGO



KRZESŁA SĄDECKIE WYKONANIU JANA FIUTA Z BRZEŹNEJ



FRĄCZEK Z PODEGRODZIA WYTWÓRCA SĄDECKICH MALOWANYCH SKRZYŃ KOŁYSEK ŁAW



OSTATNI KRAWIEC-ZDOBNIK SĄDECKICH KAFTANÓW I „BŁĘKIEŻ" ZAMORDOWANY PRZEZ NIEMCÓW W OŚWIĘCIMIU



GÓRAL GRAJĄCY NA KOBZIE



MŁODY GÓRAL Z SĄDECKIEGO



MŁODA GÓRALKA Z SĄDECKIEGO



T A N I E C   Z B Ó J N I C K I   T.   ZW.   „P O D C I N A N Y"



Z A B A W A   G Ó R A L S K A   T. ZW.   „K O T Y   D R Z E Ć"

„psia tragedia", którą muszę krótko opisać. W początkach grudnia przybył do Udrycz SS-man, który zarządził spęd wszystkich psów do strzelania. Znając nieco konsekwencje zarządzeń niemieckich, ludziska wlekli umiłowanych swoich Burków, Łysiów itp. w t. zw. „Żydowe debre" (regionalna nazwa głębokiego jaru). Przygodnie byłem świadkiem tej przykrej sceny. Psa przywiązywano do drzewa, a SS-man strzelał. Rzucające się jeszcze zwłoki odciągano i wiązano psa następnego. Z razu odbywało się to spokojnie. Pies nie wiedząc o co idzie, ze zdziwieniem patrzył za odchodzącym gospodarzem, a później i na obcego człowieka, mierzącego doń z karabinu, aż wreszcie rażony padł. Lecz psy zrozumiały o co idzie, czy też może poczuły zapach krwi, zaczęły niespokojnie tulić się do swych panów, pewnie ich opieki. Ciągnięte za sznurek stawiały opór, ryjąc pazurami zmarzniętą ziemię. Gwałtem uwiązane stworzenie z wyrazem prośby i żalu patrzyło za swoim panem, liżąc wymownie jego ręce i nogi. A gdy ten odszedł, rzucało się jak wściekłe, ostatnim wysiłkiem usiłując zerwać więzy. Z jakim że uczuciem ludność przyjmowała widok uciekającego psa, który się urwał.

Opodal w „debrze" kłębiła się w śmiertelnych drgawkach psia sterta. Tam, gromadka spędzonych Żydów skostniałymi z zimna rękami zdzierała skóry. Zbliżyłem się do nich. Pamiętam wypowiedziane do mnie słowa starego Lejby: „Wisz Karolek (tak zawsze mnie zwał), ja sobie tak myślę, że w tym roku idą psy, na drugi pójdziemy my, a po tym i z wami oni to zrobią". Słowa starego Lejby przypomniałem sobie za rok pod Zrębem.

Rok 1941

W roku 1941 obnażyła się natura germańska. Wyszły na jaw wszystkie jej tajniki. O tajnikach tych, o nieograniczonych możliwościach, świat nie dowie się nigdy. Pióro tego nie opisze, nie zdolne jest także opowiedzieć słowo. Potworność ta przerosła nasze ludzkie pojęcia. Jest to coś, co można tylko — oglądając — przeżyć.

Dlatego też, czytając takie słowa, jak „organizacja" czy „likwidacja ghetta", „Majdanek", „Oświęcim", „Rotunda" czy „pacyfikacja" — należy je rozumieć jako syntezy pewnych zjawisk, czy przeżyć, które jakkolwiek normalnie nie są możliwe, jednak miały miejsce w rzeczywistości. W roku tym cała piekielna maszyna totalizmu została puszczona w ruch. Dosięgła ona każdego miasta, miasteczka, wsi, chaty, a nawet duszy każdego, kto nie był Niemcem, lecz człowiekiem.

Wieś nasza jak każda inna dręczona była różnorodnymi zarządzeniami i szykanami, oraz popisowymi występami indywiduów niemieckich i grup szumowin — miejscowych volksdeutschów. Okoliczności zaistniałe zmuszały do wzmożenia czujności. Należy również nadmienić, że w opisywanym czasie zaistniała już jednolita sieć organizacyjna akcji bojowej i politycznej. W powiecie działał delegat rządu, komendant rejonu, oraz wszystkie inne szczeble organizacyjne. Zaistniał spór pomiędzy org. „Rocha", a delegaturą rządu i władzami wojskowymi o podział zadań.

Władze te, obsadzone przeważnie przez ludzi sanacji i sfer zachowawczych, nie chciały wyrzec się spraw politycznych. Wytworzoną sytuację należało rozważyć.

W tym też celu w dniu 18.II 1941 r. została zwołana do Udrycz konferencja działaczy „Rocha". Odbyła się w domu Bakuniaków. Wzięli w niej udział przedstawiciele trzech gmin, oraz pow. piątki w osobach ob. Maćkowskiego i Stojka. Uchwalono następujące wytyczne: 1) zażądać kategorycznie przerwania prac politycznych przez organa wojskowe, 2) w razie nieosiągnięcia zgody, „Roch" wycofa swych ludzi z utworzonych oddziałów i przystąpi do tworzenia samodzielnych oddziałów B. Ch. Wobec zwiększonej sieci wywiadu niemieckiego zwiększyć przezorność konspiracyjną. W wypadkach zaobserwowanych niedociągnięć przeprowadzić reorganizację komórek.

Niestety. Grzeszył pod tym względem najwięcej (na co niejednokrotnie zwracano uwagę) przewodniczący pow. piątki „Rocha" Maćkowski, za co też zapłacił wraz z innymi bardzo drogo.

Pierwsze ofiary

W dniu 18 marca 1941 r. wczesnym rankiem zostałem zaalarmowany przez gońca, że Paul Tadeusz został aresztowany i pytają o mnie. Szybko się usunąłem. Jak się wyjaśniło, ocalałem dzięki przezorności aresztowanego, który zapytywany o mnie poprowadził Niemców do drugiego o tym samym nazwisku, by dać możność ostrzeżenia mnie przed grożącym niebezpieczeństwem. Gestapowcy mając dokładne dane o mym stanie rodzinnym, stwierdzili pomyłkę, zostawiając mego imiennika w spokoju. Przygodnie też aresztowano ówczesnego skarbnika spółdzielni Władysława Skowrona. Po nawiązaniu kontaktu z Zamościem okazało się, że ofiarą wsypy padła cała komórka powiatowa w liczbie 11 osób z płk. Maćkowskim i całą jego rodziną na czele. Z aresztowanych powróciło 2 osoby — reszta zginęła po dłuższych katuszach w Zamościu i w Oświęcimiu. Jak nieprzeciętni ludzie stanowili tę pierwszą komórkę świadczy fakt, że pomimo katuszy (o których dowiedzieliśmy się od zwolnionego Skowrona) nie zdradzono nikogo z sieci organizacyjnej, zaś udział mój sprowadzono do ubocznych okoliczności.

Aresztowanie T. Paula i komitetu powiatowego wprowadziło duży zamęt organizacyjny w powiecie i w naszej wiosce. Pod wpływem niepewności, wielu uległo depresji duchowej. Depresji tej uległ Jan Paul, który pod pozorem ratowania brata wdał się w machinacje z volksdeutschami. Zarządziłem dla przeprowadzenia reorganizacji rozwiązanie komórek politycznych i wojskowych na terenie naszej wsi.

W międzyczasie, z ramienia tzw. PZP dostaję nominację instruktora gminnego Roman Szczur, który w naszej wsi tworzy kilka trójek tej organizacji. W ten sposób organizacje bojowe na terenie wsi przeszły pod wpływy PZP.

(Dalszy ciąg w następnym numerze)

DRABINKA POETYCKA

Stanisław Bojarczuk

Do znawców mych prac

I.

Sześćsetny sonet, albo „tablicę“ trzechsetną,
wystawiam dziś w salonie, dla znawców oceny.
Czasem zdarzyć się może pośród nich skrypt
cenny,
lecz niejedno napewno zwiedzający „zetną“.

Cóż, zryw twórczy, to wybuch Wezuwiusza
z Etną;
czasem lawa wyrzucić może i stop jędrny —
ale także przywlecze się swąd dziwnie senny:
słowem, treść się przeplata niby z lichem
cetno.

Artyzm wiersza — dogmatem — przy sensu
znaczeniu;
nieraz śmię jednak różnych wybiegów się imać,
by tylko roztargnienie na wodzy utrzymać.
Znawcy! Otóż w malutkim sonetu naczyniu,
kiedy rymy i rytmy w pewnych formach
kreślę —
wtkliwiam w słuch wam muzykę, zagadnienie
myślom.

II.

Tetmajer mi podszepnął, że w tej nikłej puszce
„myśl wielką się zawiera, niby Boga w farze“,
więc, miłośnik sonetu i na to się ważę —
by w malutki wazonik wśnić odwieczną puszczę.

Ryki lwie, stłumić w skrzeki żabek na
łopuszce;
mieć morskie wieloryby w akwarium alkowy,
zmikroskopić w drobniutkie mężów wielkich
głowy,
a wspaniałe oracje dać skrzeczeć papużce.

Są tu więc i trójwiersze i dwa czworoboki
czwórwierszy. Treść, no nie wiem — ale rym
głęboki,
że w serio poematach rzadko się spotyka.

A tytuł „Westchnień“. Układ zaś tablic
zawdzięczam
Żuławskiemu i jego westchnieniom
młodzieńczym,
gdy w „Czerwień Wina“ sonet zajrzał —
gra kielicha.

Konrad Broszczyk

Moja pracownia

Było to bardzo dawno. Pokoiku wnętrze
na najwyższym, z drewnianych Zdołbunowa
piętér.
(Zdołbunów, w roku pańskim czterdziestym
i pierwszym).
Na poddaszu tym (metrów piętnaście
sześciennych),
gromadzę z każdą zimą, drzewo, węgiel, wiersze:
to wszystko, co w najprostszym życiu
jest niezbędne.

Jednym koniem zjeżdżałem, uzbrojony pługiem,
wśród wron spiczastych dziobów, w jesienną
szarugę —
gdy z ostatnim przedmroziem powracam
do „chaty“;
wchodząc do niej, jak — w pokój po wojnie
zawarty.
Było mi szczęściem — to jedyne okno —
przez które gwiazdy nawołują człeka:
niechaj ci kości robotą zgrubieją!

.....Dzieci szkół polskich, zapytane o to
którego z wieszczów zachwyca ich mowa —
szepczą poemat — o cieple i mleku.

— Po długiej wojnie, gdy w mroku zadnieje,
czekają na mnie — te, w zgrzebnym człowieku,
z ludzkiej się doli kształtujące — słowa.

Zofia Barchanowska

Nie to

Co za straszna męka — być poetą,
Pieścić w duszy zjawę ideału,
Tworzyć pieśni, to jest dziwny nałóg.
I przekonać się zawsze, że — nie to...

...Usiłować z trwałością zażartą
Boga zakląć w bezdusznym obrządku;
Milion razy tkać Go od początku —
A zakończyć słowami: Nie warto...

Liche słowa! W wichurach nie jękną,
Choćby tak, jak pod ręką klawisze;
I choć krwią się serdeczną je pisze
Nie określisz ich imieniem: Piękno.

J. Knapik

Nie wiem

Nie wiem, czym nieuk, czy też jestem zdolny,
te rzeczy inny człowiek niech osądzi;
wiem tylko jedno, że zostałem wolny
i żaden przepis nigdy mną nie rządził.

Poco mi skuwać uczone traktaty
czy je skuwali starożytni Greki?
— a jednak oni, niespożyci laty,
przeżyją jeszcze nas i przyszłe wieki.

Mieczysław Domagała

Dola samorodnego poety

Chciałbym wyśpiewać urok chat,
melodię dzwonów, łanów piękność;
fanfarą — ducha, czynów hart.
fujarką — serca swego rzewność.

Chciałbym okazać rymów kunszt,
wiersze, jak perły drogie nizać —
piękno przyrody, świętość bóstw,
i co mnie boli, śpiewać.

Poezje pisać — piękna rzecz —
lecz trud nie mały przy tym czeka.
Chciałbym coś tworzyć — a tu precz
rozpierzchła myśl ucieka.

Bogusław Antoni Kogut

Chłopska poezja

Ni harfą orfejską nasz twórczy duch śpiewa,
Ni smętną melodią lirników,
Lecz trudem — co potem nam oczy zalewa:
Kos brzękiem i stukiem orczyków.

A kiedy się w naszą poezję zakradnie
Coś z maju, ze śpiewu słowika,
To wtedy w melodii dysonans wypadnie,
lecz tylko na chwilę — i znika.

Bo znowu rytm życia, niezmienny, potężny,
wyraźny, jak rzymski heksametr —
kieruje ku szczytom nasz lot niebosiężny,
na wielkiej przyszłości zaranie.

Andrzej Zakielarz

Gdybym ja...

O, gdybym ja poetą był,
słowami dobrze władał —
rzuciłbym słowa niby grom,
miast beznadziejnie biadać.

Rzuciłbym słowa, jako stal
hartowne, żywe, męskie:
ażby nadeszły nowe dni,
dni wielkie i zwycięskie.

A w każdy wiersz tę wlałbym moc,
by radość niósł pod strzechy,
osuszał łzy, rozjaśniał byt,
wlewał do serc pociechę.

Wiem: słowa moc — to wielka moc
siłę tę ona stwarza,
że można nią poruszyć świat:
od możnych, do nędzarzy.

Poetą — jednak trzeba być
i nad sercami władać:
to znaczy — w piersi geniusz mieć —
nie tylko pięknie składać.

Jan Pocek

W ten wiersz

W ten wiersz włożyłem swój trud i trud mojej matki —
i łzy ojca, które zbierałem od kołyski,
a nosiłem dotychczas jak świętojańskie robaczki
w swych garściach, od trudu i od pracy brzydkich...

Nie szukałem do niego słów i zdań błękitnych,
ale wziąłem takie proste, szare i ubogie,
jakie się bierze do własnej modlitwy,
wysyłanej do Boga, gdy tęsknota wzbierze...

Poeta

Prawie codzień nawiedza mnie tęsknota wielka,
prawie codzień chodzę na łąkę samotności,
by zrywać w kobiałkę własnego serca
kwiaty natchnienia, od łez radości — mokre.

W milczeniu broczę, jako czapla siwa
po tej łące słonecznej, łące bez końca...
Na każdy kwiat spoglądam, ale tylko te zrywam,
które mają w swych koronach — iskry słońca.

LEON POKORA

Góralski zespół tańca, muzyki i gawędy

Polacy nie interesują się i nie wykorzystują własnego folkloru ludowego. Miasto, które u nas chce być wybitnie przodującym czynnikiem w kulturze, podziwia wprawdzie wspaniały folklor, ale na zagranicznych (zwłaszcza sowieckich) filmach. Lubimy się jednak szczycić tym ,że kulturę ludową niektórych naszych regionów stać na równą, lub nawet na wyższą oryginalność i poziom. Jest w tym twierdzeniu prawda, ale musimy zauważyć, że nasz folklor omal zamarł, jest on bowiem niedostępny nawet dla tych, których stać na wyjazd np. w góry, gdyż obserwacja życia codziennego nigdy nie uwypukli tak nieprzeciętnych wartości, jak dobry regionalny zespół.

Takich zespołów po wojnie jest niewiele.

Ludowy Instytut Kultury mając na względzie udostępnienie wartości kultury ludowej zwłaszcza robotnikowi i młodzieży szkolnej, podjął przez „Wieś Tworzącą" myśl stworzenia objazdowego zespołu, który by przez występy w świetlicach fabrycznych i szkolnych niósł rzetelną wiedzę etnograficzną i krajoznawczą, oraz te wartości kultury ludowej, które swą oryginalnością stanowiły podnietę dla tzw. kultury narodowej. Wybór padł na region nowosądecki i nowotarski.

Czcibor-Cholewa wychowany w atmosferze pielęgnowania kultury regionu, spadkobierca idei swego „stryka" Władysława Orkana, od młodości rozmiłowany w folklorze, już na kilka lat przed wojną stworzył zespół góralski, z którym objeżdżał Polskę i wypuszczał się nawet za granicę.

Przedwojenny prezes Związku Górali Beskidzkich i redaktor „Watry Podhala", wchodzi w podziemię (ps. Obłaz) i zostaje dowódcą oddziału „Juhas" należącego do grupy „Ubocz", przemianowanej z dawnego związku. Pismo „Z Uboczy" znane było z zaciekłej walki z „nacją góralską".

Dziś, partyzanci-górale zwani odtąd „juhasami", organizują „Wieś Tworzącą", której autonomiczną grupą ma być „Ubocz", czy wznowiony Związek.

Zespół objazdowy „Wsi Tworzącej", pozostający pod kierownictwem Cholewy składa się tymczasem z 6 osób, w tym 4-ch z dawnego, liczniejszego zespołu przedwojennego. Jest w nim Józek Galica, jeden z nielicznych kobziarzy, Wojtek Klag, Franek Kurzeja, Tosia Tatarówna z Olczy i Józek Marek z Łącka, tancerz „prymny" na całe Podhale i nowosądeckie.

W takim składzie zespół wyruszył w turnee po Polsce. Występował w Jędrzejowie, Kielcach, Radomiu, Kozienicach, Pionkach, budząc powszechny entuzjazm publiczności, składającej się z robotników zwłaszcza i młodzieży.

Drugi objazd, obejmujący Mazury i Pomorze, rozpoczął się występami w Warszawie dnia 18 i 22 kwietnia w sali „Roma" i 20 kwietnia w sali Wedla.

Występ mógł zachwycić przede wszystkim ludoznawcę. Od tej strony, która była zresztą głównym jego założeniem, wywiązał się zespół całkowicie. Obraz kultury regionalnej naszych gór został pokazany w pełnym świetle, prawdzie i sile. Śpiewy (np. o „Janosiku"), gra na kobzie, listku, gęślikach, fujarkach juhaskich, gadki, wreszcie tańce (zbójnicki, krzesany, drobiony, góralski-zwyrtany) składają się razem, w swej cudnej bezpośredniości i prostocie, na wizję wieczyście młodej, a nie obumarłej kultury. Nastrój ten udziela się sali. Z estrady płynie ku widowni prąd życia, który obejmuje sobą, który nakazuje żyć i myśleć kategoriami regionu.

Melodie i tańce góralskie nie są pozbawione artyzmu i to w pojęciu bezwzględnym. Tańce np., poza bogactwem rodzajów i figur, poza poprawnością techniczną, przechodzącą w pewnych momentach w wirtuozję klasycznego stylu, zadziwiają tematyką.

Skrzyżne podskoki, inne techniczne środki — nie stanowią jednak o wszystkim. Niezwykłą rolę odgrywają oczy artystów, które hypnotyzują. Ja odróżniam np. Józka Marka z życia, od Józka Marka z estrady, kiedy we wspaniałym „zbójnickim" odżywa w nagłej poincie (sednie) starego mitu, który to jakby czytał ruchem nóg i ciała; wtedy to treść „hyrna i siumna" niesie się na salę, stawiając ją przed nową rzeczywistością, zaistniałą li tylko w wyrazie jego ócz — przez pantominę wzruszeń, jaką staje się taniec — bezsprzeczna tu, ludem wytworzona — sztuka ludowa.

STACH POWSINOGA

WSRÓD SWOICH I DLA SWOICH

W czasie ty wojny Wicek był dwa razy ranny. Wraco do swoi roboty nauczycielski, a w nagrodę za frontowom słuzbe i ranienia, zostaje przeniesiony na gorsom posade w Brudzowie. Około 20 kilometrów od stacji i miasta Kielc, gdy przed tym miał półtora km. do stacji. To tyz w najblizse wakacyje prosi o przeniesienie blizej kolei i miasta. Następuje odmowa.

Poducą się dali do egzaminu. Przychodzom drugie wakacyje. Powtórnie prosi o przeniesienie i znów odmowa. Wtedy udaje sie do Końskich. Tu inspektor szkolny przyrzeko mu,

że otrzyma lepszo posade. Jakoż i zwolnio sie spod Kielc, a otrzymuje posade w Nieświniu, gm. Gawarczów, pow. Końskie.

Ludziska mieszane. Som chłopi i robotniki. W ziemi niechętnie pracujom, bo najwiency tu piosku, a nawet są i kawały piochu lotnego. Mimo dobrych zarobków we fabrykach w Końskich (8 km. od Nieświnia), ludność pod względem kulturalnym i moralnymi stoi bardzo nisko. Kłótnie, swary a i nawet bójki. Przez wieś trudno przejść i przejechać, by nie zostać zaczepionym, cy nawet uderzonym.

Wzioł sie Wicek serdecnie do roboty. Próbuje różnych sposobów, by ukrócić rozwydrzonom młodzież. Nie żałuje tu nawet i kija, o cem na jednym zebraniu nauczycielskim pon inspektor pedzioł, że „w Nieświniu pierom maglownicom", bo mu jedna z bab z Nieświnia tak pedziała, ze nauczyciel bije maglownicom. Tyle dobrze, ze kierownik ty skoły to nadzwycoj dobry i ludzki chłop, rodem z Kalwaryi, kole Krakowa. Znalazło sie tyz pore mondrych gospodorzy, co śli na renke Wickowi i panu kierownikowi. To tyz powoli — powoli, zycie we wsi sie poprawiło i dziś jest to jedna z rozumnijsych wsi w powiecie. Nie obesło sie bez przykrych przejść Wicka, ale przesło. Kiedy zaś Wicek ożenioł sie i musioł iść z Nieświnia, ludzie bardzo go żałowali, długie lata o nim z posanowaniem wspominając. I tu znów, złość ludzko musi dopionć swego.

Gdy inspektor szkolny obiecał w czerwcu Wickowi, że żona dostanie posadę przy nim w Nieświniu, to podinspektor szkolny Modliński (Rusin z pochodzenia) przysłał do Nieświnia inną nauczycielke, a żona Wicka do inny wsi odległej o 27 km. od Nieświnia, a to w casie nieobecności inspektora, który był wtedy na urlopie. W ten sposób mści sie na Wicku, za to, ze nie udało mu sie go zredukować w poprzednim roku szkolnym, tak jak zredukował piętnostu nauczycieli i nauczycielek. I jak sie okazało późni — to na pietnoście było 13 takich, którzy byli jako ochotnicy na froncie pod Lwowem. Jedna z nauczycielek była dwa razy ranna (i miała stopień podporucznika rezerwy) a w dodatku, ciężko chora i z trojgiem dzieci, z których jedno w pare dni zmarło.

Wicek z zonom przeniesieni zostali do wsi Majdów, koło Szydłowca; z początku był to powiat Końskie. Pon inśpektor Lumbec odrodzo Wackowi Majdów, proponuje mu inkse miejsca. Odrodzo, ze w Majdowie jest leśnicy, który mo wielkom protekcjom, to tyz wiecnie śle skargi na nauczycieli. Hale Wicek pedo: „co bedzie, to bedzie. Jakoś musi sie układać to zycie". Wicek zastaje tu wieś, podobnom do Nieświnia. Tylko wiency ludzką. Zaniedbanom jest materialnie, troche ze swoi winy, a troche z winy inych. Wicek zakasuje renkawy do roboty. Juz napotyko trudności, ale i wdzienczność. Tu, naprowde Wicek jest wśród swoich i pracuje dla swoich. W kieleckiem zetknoł sie z różnemi organizacjami i pracowoł przy nich. W koneckim widzi, ze nima ani jednego Koła Młodzieży Wiejskiej. W Majdowie brak skolnygo budynku. To tyz powoli rozpocyno. Na pirsym zebraniu rodziców jedna z bob pedo: „Bodaj z piekła nie wyjrzoł, kto skoły postanowiół". Hale dość znacno licba była inksygo zdania.

Widzi tyz Wicek, ze na razie musi sie wzionć za młodych. Organizuje Koło Młodzieży Wiejskiej, pirwse w powiecie koneckim—w 1928 r. Przez młodziż skolnom i kołowom staro sie dogodać ze starymi. Buduje duży dom, w którym som mieszko i mieści sie skoła do dziś dnia, młodziż sie zbiro na swoje zebrania i starsi tyz. Młodzież kołowo wziena sie za uporzondkowanie wsi. Gdy w 1927 roku były we wsi tylko śtyry chałupy, grodzone śtachetami, a zreśtom opłotki, to jest dwa dronzki przywiązane lub przybite do słupków — to dzisiok nima tam ani jedny chałupy, która nie byłaby ogrodzono. Haruje Wicek z kobietom swojom, jak tylko moze. Po Kole Młodzieży starzy tyz sie zbirają: tworzom Straż Pożarnom. Nima prawie świenta cy niedzieli, aby nie było przedstawinio, zebranio jakiegoś cy inksych jakiś nowości. Młodzi i starzy cynią grzondki i na nich robiom różne doświorcynia. Zjeżdżajom różne instruktory i poucajom, jak mo sie gospodarzyć, aby było lepi, i zdrowi żyć.

Hale cóż, kiej tako chłopsko robota, zacyno sie podobać inksym wsiom, hale nie podobać różnym pankom, którzy chcom widzieć chłopa głupim. O tym bedzie trocha późni. Za Majdowem idom inkse wsie. W powiecie nazywajom Wicka chłopskim naucycielem. Młodo brać wsiosko w koneckim polubiła Wicka. Wnetki rosnom Koła Młodzieży, jak grzyby. Kilka wsi w koneckim powiecie mo do dziś różne pamiątki, które młódź wsiowa zrobiła. A to kawałek drogi młódź zrychtowała i dziś jest ubito droga — to znów w trzech wsiach postawili krzyże w tych miejscach, gdzie upadli zabici żołnierze polskie w 1863 i w 1915 r. W kilkunostu wsiach wyglond wsi zrobiół sie lepsy, a i w chałupach porzondnij, w kilku wsiach znowuz zaceni wyrabiać downo zapomniane zaposki i inksom wsiowom przyodziewke. Baby tyz zrobiły Koło Gospodyń. Tyz dużo różnych rzeczy poprawiły se w chałupach i gospodarstwach. Nas Wicek zaglondo i do somsiednich powiatów. Ty tyz do dziś zno go prawie cało północno cęść województwa kieleckiego, to znacy północne powiaty.

Ale niedługo cekoł Wicek na wynagrodzenie. Na miejscu był leśnicy, ślachcic.

Kiedy Wicek nastoł do Majdowa, na trzeci dzień, po południu, siedzi Wicek przy stole i pise różne swoje skolne papiry, a wprost Wickowy chałupy przystanoł leśnicy, jadący na koniu wierzchem — i gwizdo na palcach. Wicek se myśli: na kogóż tak gwizdo? Aż tu przysed chłopok skolny i pedo. „Pon leśnicy wołajom pana".

A Wicek na to: „Powiedz panu leśniczemu, że nie mam czasu. Ale, jak ma jakiś interes do załatwienia, to niech przyjdzie i załatwi". Za chwile przychodzi baba i godo to samo co chłopok. Wicek powtorzo znów co pedzioł. Leśnicy zaklon i pojechoł. Za pare dni przychodzom z dzieckami: chce je zapisać do skoły. Godo: „Ja zapisze swoje dzieci do szkoły, ale ja sam wstawię do niej swoją ławkę, w której będą moje dzieci siedzieć. Ale ławka musi osobno stać w klasie".

A na to Wicek: „Publiczna Szkoła Powszechna jest dla wszystkich dzieci bez względu na stan majątkowy. Dzieci wszystkie muszą być jednako traktowane. A przecież sam pan leśniczy ze swego życia wie, jak ławka szkolna zbliża młodych do siebie. Jak miło wspomina każdy lata, spędzone na ławie szkolnej".

Na to leśniczy: „Moje dzieci nie mogą razem z chamskimi dziećmi siedzieć"!

A Wicek: „Na to niema żadnej rady, muszą siedzieć z innymi dziećmi". Koniec, końcem zostało na tym, że dzieci bedom siedzieć w pirsy ławie, ale razem z inksymi dziećmi.

Hale przez dziesieńć lot, które to Wicek przebywoł w Majdowie, mioł on stale od leśnicygo dogryzki, skargi różne do inspektora skolnego i do różnych inksych władz. Ciongle burzył ludziska na Wicka. Gdzie móg to go obazgrował. Cóż, kiej ni móg nic skórać, bo ludziska wiedzieli co wort Wicek, a co ten leśnicy, co to niejednemu robotnikowi obcioł dlo siebie (z wypłaty za robote w lesie) nieroz duzo piniendzy, które po tym musioł zwracać robotnikom. Az dosło do tego, ze leśnicemu odebrali prawo wypłocania robotnikom.

Dopokond nie przysła ta „kochano partyjo B. B." — co to niejednemu Polakowi zrobiła bide wielko — to jesce Wickowi jakoś przechodziły te skargi leśnicygo. Az leśnicy wzion sie za robote w Związku Strzeleckim. Wicek, aby sie z leśnicym nie kłocić, usunął sie do swoji braci chłopski i dali swoje prowadzi. Az nareście przysed jesce lepsy „Ozon". Zmienili tyz inspektora skolnygo w powiecie. W tym casie Wicek pogodoł z chłopami kilkonaście razy, pojechał tu, pojechał tam, to kajsik indziej i chłopy zacynajom sie krzontać kole budowy skoły. Nazwozili kamienia. Inziniery powiatowe powymirzały plac i dawoj budować. Za gradobicie wieś dostała wagon zboża i przeznaczyła na tom budowe. Rozpoceno sie. Ruch, az hej! Wicek z dwoma gospodorzami jedzie do Kielc i to znów przyobiecali drugi wagon zboża, z fundusu jakiegoś tam znów.

Az ci, jak piorun z jasnygo nieba przychodzi do Majdowa wiadomość, ze Wicek ma jakomś sprawe. I rzecywiście. Ze okrado ludzi, ze buntuje przeciwko rzondowi, ze nie dbo o skołe i duzo jesce inksych rzecy. W dodatku rozkazoł pon starosta i pon inspektor skolny, aby Wicek przemieniół wsyćkie Koła Młodzieży wsiowy w powiecie, na Oddziały Zwionzku Strzeleckiego.

Miendzy zgrajom naganiacy na Wicka jest, mo sie wi, leśnicy. Odbvła sie rozprawa w Skarżysku Kamienny w sondzie, to znowuz w Końskich, to znowuz w Krakowie. Pon inspektór nawet pozwolół se, podobno, pod przysiengom zeznać nieprowde, aby Wicka utopić.

Na nieprowdziwe jego zeznanie był dowód i w świadkach i na piśmie. Inspektór godoł na Wicka a som podpisoł swojom renkom przedtem pore miesiency pismo, które mówiło za Wickiem. Wicek to na rozprawie godoł i widocnie i tak nie był winien, kiej prokuratorio dała mu spokój. Tylo, że został przeniesiony az 106 kilometrów od swojigo domu, od rozpocentego budowanio nowy skoły w Majdowie. Boć to było przecie konieczne dlo dobra wsi, zeby zostoł przeniesiony!

Naturalnie, ze po Wicka wyjeździe stanęła budowa skoły w Majdowie, która i dotychcas nie jest wybudowaną.

Fundamenty do dziś stoją, kamień lezy, wapno w casie wojny rozkradzione przez ludzi z okolicy. Wicka wygnać z Majdowa mioł kto, hale dalij poprowadzić budowe skoły ni mioł kto, chocioz na miejsce Wicka przysed tyz syn chłopski i to jesce o uniwersytecie ukończonym, a jesce w dodotku z tego samygo powiatu rodem.

Znowuz powertnijmy do Wicka. Przyjezdzo do miastecka Solca. Jesce mo kawał drogi. Łyki mijskie godajo do właściciela samochodu, że droga cienżko i do Chotczy nie dojadom. Bo sami chcieli zarobić i to grubo. Mówili że jest do Chotczy 20 km, a było 11 km. Hale Wicek ugodoł włościciela samochodu i jadom. Wreszce dotarli z cienzkom bidom do wsi. Tutok zobacyli pierwsy samochód we wsi. Zbiegło sie ludzisków chmara, gapiów moc. Som i naucyciele z ty wsi a dwu z somsiednich. Som tyz i urzendniki z urzendu gminnego.

Wicek prosi roz, drugi, trzeci i czworty aby ktoś z ludzi pomog przy wyładowaniu z samochodu, bo panowie z samochodem musom zaroz wracać, a tu juz noc nadchodzi. Hale nikt sie nie rusół do pomocy.

Tedy włościciel samochodu godo: Ludzie, czemu nie pomożecie zdjąć z samochodu rzeczy. Ci państwo są bardzo zacni. Żebyście widzieli jak wszyscy płakali za nimi. Pomóżcie im! Hale to były daremne jego słowa. Nikt nie pomógł. Wicek ze szoferami wyładowali samochód, a ci troske sie posilili i pojechali.

W casie wyładowania z samochodu zdązyli jednak gapie ukraść pudełko z nakryciem stołowym t. zw. „Fraget" i inne drobne rzeczy. Wicek, z gospodarzem chałupy, w który mioł mieszkać Wicek, znieśli graty do mieszkanio. Tak na pocontek mioł Wicek w ty nowy wsi przywitanie.

Koniec.



Pod tym tytułem zamieszczamy oryginalne materiały z przeszłości, z których można się czegoś dowiedzieć o kulturze obyczajach, zwyczajach i innych przejawach życia chłopskiego w czasach dawnych.

O LECZNICTWIE LUDOWYM*)

„Choroba przybywa na koniu, a piechotą odchodzi". (z przysłów ludowych).

Nasze lecznictwo ludowe wywodzi swój początek z czasów, kiedy wszelkie nadzwyczajne zjawiska — a choroby mają przeważnie ich znamiona — przypisywano duchom, czy demonom. Zgodnie z tymi wyobrażeniami, zdaniem naszego ludu, chorobę zadaje jakaś siła demoniczna, zły duch, czy też w stosunku z nimi pozostający ludzie (czarownik lub czarownica), którzy rzucają czary lub uroki na pewne osoby (zwierzęta).

Wychodząc z tego założenia, chorobę można na tej samej drodze tajemnej odwrócić, odczynić, odczarować. Odczarowanie zaś u ludów pierwotnych odbywało się w sposób dwojaki: starano się chorobę, jako sprawę złego ducha zakląć, odrzucić, zastraszyć, oszukać, albo zagniewane czy karzące bóstwo proszono o przebaczenie win i grzechów za pomocą modłów, ofiar, „kajania się" itp.

Na tej drodze prośby lub groźby pozbywa się choroby i lud na ziemiach polskich do dziś.

OBŁĄKANIE

Lud polski od wieków wierzył w opętanie przez złego ducha. Nawiedzany przezeń bywa najczęściej epileptykiem**) lub obłąkanym.

W pamiętnikach opisujących panowanie Augusta III czytamy:

„Na każdym odpuście w kościele widzieć można było opętanych, krzyczących głosem przeraźliwym i po kilka słów mówiących różnymi językami, napastujących kobiety, które potwarzane mdlały, lub dostawały słabości; to znowu księży egzorcystów, którzy zaklinali czartów opętanych do milczenia, a kiedy na nich kładli relikwie, lub wodą święconą kropili, niesłychany krzyk, ryk, jęk wydawali, a w ciele kontorsje i łamańce robili".

Wedle tych wierzeń zły duch wchodzi w opętanych nosem, oczyma, uchem, przez usta. Wypędzony zaś wychodzi tymi samymi drogami, którymi się dostał do wnętrza. Wypędzanie czarta odbywało się u nas w drugiej połowie XIX w., w Kalwarii Zebrzydowskiej, w Mogile, Leżajsku i inych oraz na odpustach różnych cudownych miejsc.

Uciekało się także od innych sposobów. Czarownik w Żarówce pod Radomyślem tak leczył chorą na pomieszanie zmysłów kobietę:

Podaną sobie czarną kurę wziął za nogi i rozdarł żywcem nad głową chorej, tak, że krew z kury ciekła po głowie kobiety, po odmówieniu niezrozumiałej formułki kazał okładać do trzeciego razu głowe chorej tą rozdartą kurą.

Gdzieindziej znowu umysłowo chorego leczono, okładając mu głowę żabą owiniętą w pęcherz i woreczek z płótna. Żaby bowiem miały wyciągać chorobę z głowy i od niej ginąć.

W Świętokrzyskim na pomieszanie zmysłów dawano kota zgnojonego z kołtunem palonym.

W powiecie niskim obłąkanych leczono dając im pić wodę z trzech studzien, czerpaną po zachodzie słońca.

W tarnowskim i rzeszowskim, jak pisze Kolberg i S. Udzielak, „pozbawionego zmysłów człowieka na wyleczenie obwiązują powrozem z łyka lipowego, pokręconym i wodą skrapiają święconą". Przy obrzędzie wypędzania czarta „wszyscy obecni mający przy sobie szkaplerze, koronki i inne świętości wkładają je do ust pilnując, aby zły duch wychodzący po egzorcyzmie z opętanego nie wpadł komu z nich w otwartą gębę, lub do nosa czy ucha" — wspomina Jan Długosz w „Żywocie św. Kunegudny".

Ks. M. Złotnicki w książce pod nazwą „Skarb nieprzebrany" (Częstochowa 1772 r.) wspomina między innymi o Katarzynie, córce Królika z Kieleckiego, lat 24, która „od diabelstwa okrutnie na ciele pomordowana, w dole głębokim przy młynie, gdzie kilkoro ludzi utonęło,

*) z książki: „Lecznictwo ludu polskiego", Henryk Biegeleisen, str. 406, Polska Akademia Umiejętności, 1929 r.

**) Epileptyk — człowiek chory na padaczkę (choroba św. Wita).

przedtem nurzona i topiona, po wsiach i lasach z krzykiem od pokusy wodzona, którą wiązać i pilnować rodzice musieli, to wszystko cierpiała przez 8 miesięcy, przez które na różne miejsca dla egzorcyzmów ją wożono — za przyczyną Panny Marii dn. 2.II.1798 r. od diabelstwa wolną i zdrową została".

W okolicach Gródka Nadbużańskiego osobę chorą umysłowo trzymano zamkniętą na kłódkę w chlewie, inna bita, głodzona, poniewierana w nocy z dzieckiem błąka się po wsi.

Do niedawna częste były wypadki podobnego okrucieństwa.

W przysłowiach zachowały się ślady wiary w przebywanie diabła, czyli złego ducha w człowieku:

„diabła zjadł, drugi mu znikł",
„nadął się jakby zjadł sto diabłów",
„złapać diabła zębami".

Przysłowia te świadczą o wierze, że człowiek mógł pochwycić i połknąć diabła. O podobnym pojmowaniu dają wyobrażenie inne przysłowia:

„ma diabła w kryciu (w ukryciu),
a dwóch w nosie",
„ma diabła w nosie",
„diabeł wtenczas najgorszy kiedy
z człowieka wychodzi",
„najgorszy diabeł na wylocie".

Mają te przysłowia i posmak złośliwy w stosunku do kobiet. Przysłowie ludowe głosi:

„jak baba idzie zamąż, to siedmiu
diabłów pod pachą trzyma",
„na św. Jan kwas w piwo, robak
w mięso, diabeł w babę wstępuje",
„nie wdawaj się z tą kobietą, bo ma
kozła w oczach".

Przysłowie ludowe: **„krzyczy, jakby go diabeł opętał"**, albo **„krzyczy jak opętana baba"**, świadczą, że wiara w opętanych przez złego ducha była wielce rozpowszechniona i potwierdzają istnienie między ludem przekonania o przebywaniu złego ducha we wnętrzu obłąkanego.

Wybrał **Wł. Olszewski.**

KAROL PIĘTAK

W AMERYCE

(Część druga pamiętnika*)

Na granicy gdy nas chwycili agenci od kart okrętowych, to już skończyła się nasza wolność. Musieliśmy się zdać na ich łaskę aż do wsiadania na okręt.

Podróż morska nam z początku zaimponowała. Było to w sierpniu i pogoda sprzyjała. Ciepło, muzyka gra, więc nam się wydawało, że to jakaś krótka wycieczka spacerowa. Ale to dobre trwało tylko 3 dni. Potem nie ominęła nas ciężka choroba morska i jednych lżej i krócej, innych dłużej i ciężej trzymała. Ja należałem do pierwszych. Tylko dwa dni męczyła mnie ta choroba nie tak ciężka jak nudna. Zawrót głowy, oraz wymioty połączone z osłabieniem oto objawy jej. Choć bardzo ciężko niektórzy ją przechodzili, prawie przez całą podróż morską nie widziałem, aby była śmiertelna.

Nareszcie przeszła i ona, i każdy otrząsnął się, że jakoś to będzie. Nie będę tu opisywał wrażeń z tej podróży morskiej bom nie literat. Podług mnie bowiem żaden pisarz nie opisze burzy morskiej z taką dokładnością jak jest w rzeczywistości, gdy nie jest w czasie burzy na morzu. W tym czasie, jak już wspomniałem, było to w lecie, burz nie było, ale też i wody morskie nie były całkiem spokojne. Grube fale wzbierały i piętrzyły się z sobą. Jakby w głębiach nieustannie się coś gotowało. Ogólny widok z pokładu okrętu jest taki. Okręt znajduje się w dużej nizinie a dokoła zielone wody tworzą lekkie wały. Szczególnie można to zauważyć w środku oceanu. Codzień ten sam widok. Zdaje się że cały świat zalany jest tylko wodą. Żywych stworzeń żadnych. Czasem, gdy słońce przygrzało około południa można było mieć widok okazowy jak w kinie. Oto wydobywa się na powierzchnię wody coś okropnego. Cielsko olbrzyma wydobywa się powoli. Zachowuje się on tak, jakby się chciał pochwalić i nastraszyć kogo zarazem. Daje nurka i ogonem rozbija fale, co daje taki odgłos jakby z ciężkiej armaty wypalił. Czy to jest wieloryb, czy inny potwór tego m się nigdy nie dowiedział. Gdy po śniadaniu lub obiedzie kucharze wynosili odpadki od jedzenia i wrzucali je do wody, zaraz wynurzały się z wody jedne i te same ryby długości metra i szerokie i łapały pożywienie, jakby się to im należało. Jeszcze z daleka można było widzieć, jak dawały skoki po wodzie, bijąc się ze sobą o pożywienie. Oprócz tego można było zobaczyć białe ptaki — takie jak nasze rybitwy, tylko zupełnie białe. Leciały codzień za okrętem, a gdy chciały spocząć siadały na fali, a ona je lekko kołysała.

Nareszcie 12-go dnia podróży ujrzeliśmy na wodzie Posąg Wolności Ameryki. Znak to był,

*) Początek w n-rze pierwszym.

że już niedługo skończy się nasza monotonna podróż morska. Jakoż na drugi dzień zobaczyliśmy pierwsze i portowe miasto, Nowy Jork. Wieczorem okręt nasz dobił do przystani. Tyle lat a jeszcze dziś pamiętam jakie na mnie zrobił wrażenie widok tej złotodajnej Ameryki. Otóż najpierw rzuciła mi się w oczy gorączkowa praca w porcie przeważnie czarnych robotników. Na strasznej gorączce uwijali się tak, jakby godzina takiej pracy przydłużała im 10 lat życia. Dalej: gdym ujrzał setki kominów fabrycznych a z każdego buchające kłęby dymów, to pomyślałem sobie, że i ja będę musiał się zakopać w jednej z takich fabryk — i ani świat o mnie nie będzie wiedział.

Po wyjściu z okrętu wpakowali nas do obszernego budynku, a raczej dużej szopy i tam przesortowali, gdzie kto miał jechać. Nasz przewodnik pracował przed tym w Pittsburgu, więc i my z nim tam udawaliśmy się. Partia była zaraz gotowa — a że i pociąg był gotowy — natychmiast ulokowano nas w pociągu, który miał nas zawieźć do Pittsburga. Bardzo mi zaimponowała podróż koleją amerykańską. W porównaniu z Europą to taka różnica, jak niebo do ziemi. W Ameryce w wagonie nie ma ławek, a są fotele na sprężynach, gdzie tylko jeden człowiek siada i ma wszystką wygodę. Może sobie fotel rozłożyć i najspokojniej spać, jeśli bilet kolejowy włożył za wstążkę od kapelusza. Konduktor, przechodząc środkiem, wyjmie bilet pomalutku z za kapelusza i już wie dokąd podróżny jedzie i aby w razie zaspania mógł go obudzić.

Gdy przyjechaliśmy do Pittsburga przewodnik nasz poprowadził nas tam, gdzie były wielkie fabryki żelazne. A że te były oddalone o trzy kilometry od miasta więc siedliśmy na tramwaj i jedziemy. Naraz w polowie drogi tramwaj staje, a konduktor mówi że nie pojedziemy dalej, że w fabryce jest strajk ogromny. Nasz przewodnik prowadzi nas przez prerie i łąki. Nagle od fabryk idzie czterech mężczyz do nas i każe nam stanąć. Pytają się, gdzie idziemy. Nasz przewodnik mówi, że przybyliśmy z kraju i że przed tym tutaj pracował, więc i teraz będzie się starał dostać robotę. Oni się nie zgodzili na jego mowę, bo uważali że jesteśmy skiepi od przerwania strajku. Zgodzili się jednak na to, że pójdziemy do tego domu, w którym nasz przewodnik był na stancji. Jeśli gospodyni potwierdzi jego słowa to wszystko będzie dobrze, będziemy przyjęci do strajkujących. I tak się też stało. Gospodyni potwierdziła że przez dwa lata przewodnik był u niej, więc oni zgodzili się i po zrewidowaniu naszego ubrania, czy rzeczywiście jesteśmy z kraju dali nam zupełną wolność. Gospodyni zafasowała na nas żywność tygodniową, t. j. chleb, kawę, cukier, masło i odrazu oto jesteśmy strajkujący. Najmniejszego pojęcia nie miałem co oznacza duży strajk w Ameryce (bo muszę nadmienić że był to jeden z największych strajków i trwał wtenczas przez cały rok). Na drugi dzień, gdy wyszliśmy na ulicę ujrzeliśmy taki widok. Jedna ulica szeroka i długa ciągnąca się na dwa kilometry była przed nami. Stały budynki piętrowe po obydwu stronach jej jeden przy drugim, a ulica była zawalona stosami sprzętów domowych. Kozaki kompanistów wyrzucali oknami i drzwiami łóżka, krzesła, kanapy, a nawet piece. Wszystko bez ładu, czyje są, na wspólne kupy. Nie mogłem oczu oderwać od tego widoku wstrząsającego. Dodać jeszcze płacz i krzyk kobiet tam zamieszkałych, a mamy prawdziwy obraz strajku robotniczego w Ameryce.

Na drugi dzień odbył się duży mityng. Na wysokiej górze zasiadło kilkanaście tysięcy mężczyzn i kobiet. Przywódcy wygłaszali mowy w różnych językach, a kozacy na koniach jeździli dookoła góry i wywracali a nawet zabijali niewinnych ludzi. Oto cały obraz, który się odbywał w wolnej Ameryce.

Po przesiedzeniu tutaj całego tygodnia, uradziliśmy, że więcej nie możemy siedzieć bo Ameryka to nie sam Pittsburg, postanowiliśmy jechać do Chicago, jako do głównej ostoi polskości. Tak też uczyniliśmy. Gdy przyjechaliśmy do Chicago był tam duży zastój w robotach i po fabrykach. Co trzeci robotnik ledwie robił i to nie wszystkie godziny. Dużo tutaj było ludzi z wioski naszej. Pocieszali nas, że jakoś to będzie, bo zaczynają fabryki ruszać. Ja w Chicago miałem swego krewniaka bliskiego i to już żonatego. Żona jego pochodząca z Galicji od Tarnowa, bardzo porządna i uczciwa kobieta, wiele nam w początkach pomagała i robiła wszystko, aby tylko nam uprzyjemnić te pierwsze kroki w Ameryce. Mąż jej a nasz kuzyn pracował w jednej z fabryk już 8 lat. Był tam już starszym molderem więc dał nam słowo, że przez niego dostaniemy robotę. Jakoż nie długo czekaliśmy, bo już czwartego dnia kazał nam iść ze sobą do swej fabryki. Postawił nas przed bramą i kazał czekać. Po upływie półgodziny wychodzi on, a za nim gruby w średnim wieku, obydwaj rozpychają się między robotnikami. Przyszedł przed nas i wskazał mówiąc do grubasa: to oni.

Grubas popatrzył na nas i kiwnął ręką, aby iść za nim. Gdy weszliśmy do środka tam już w całej pełni wrzała robota. Huk, krzyk, ogień w piecach bucha — oszołomiło nas na chwilę. A do tego jeszcze jeden krzyknie, drugi mu powie — grynal z kraju! Grynal! (Tak nazywały świeżo przybyłych starsze jednostki, chwalące się już dłuższym pobytem w Ameryce). Nasz dobroczyńca na to wszystko nie zważał, tylko prowadził nas dalej. Nareszcie brata postawił w jednym miejscu, mnie w drugim, oddając nas innym do pomocy, mówiąc by mieli nad nami opiekę. Tak znaleźliśmy się w dużej odlewni chicagowskiej, jako pionki wśród tysięcy pracujących robotników.

Nie będę opisywał wszystkich robót jakie przechodziliśmy w tej fabryce, to trochę i nud-

ne i rozwlekłe. Dodam tylko, że początki tych robót były bardzo ciężkie. Zdawało się, że są one nie do wytrzymania. Było tam 10 wielkich pieców, które ogromnym ogniem płonęły pod wielkimi kadziami. W nich to roztapiały się sztaby żelaza i stali na żółtą wodę. Tę stal roztopioną trza było nosić w dużych garnkach umyślnie do tego celu zrobionych. One były obsadzone w środku zrychtowanych noszów, tak, że we dwóch, jeden na przodzie, drugi w tyle niosło się je i zalewało stalą już gotowe moldy.

Była to jedna z najcięższych robót w początku. Bo nie tylko stal w garnkach była ciężka, ale i iskry pryskały niemiłosiernie i parzyły. Ale do wszystkiego można się przyzwyczaić. Tak i ja się z robotą oswoiłem i zdawało mi się że już dawno pracuję. Płaca dzienna wynosiła 2 dolary na 12 godzin dziennie pracy. Miesięcznie zarabiałem około 50 dolarów, ale co drugą niedzielę musiałem za to robić. 12 — 13 dolarów kosztowało życie i mieszkanie, zostawało mi 37 dolarów. 20 dolarów mogłem posłać do domu, reszta zostawała na kupno odzienia, bielizny, butów itd. No i na piwo w południe i wieczorem po pracy. Wody źródlanej w Chicago nie było do picia, służyła ona do gotowania i prania i była ściągana wodociągami z jeziora Michigan. Wrócę jeszcze do piwa. Szklanka piwa kosztowała 5 centów. Jeśliś sobie je przyniósł do domu toś dostał garniec — było w nim 12 szklanek i też to wszystko kosztowało 5 centów. Bardzo mi się z początku dziwnie wydało, że grupki mężczyzn czterech, czy pięciu, stojąc na ulicy lub chodniku popijają piwo z garnca i nikt na nich nie zwraca uwagi. Nadmienię, że jeszcze do dziś mi dziwno, w jaki sposób Ameryka mogła się uporządkować w stosunkach gospodarczych. Otóż zarabiałem dziennie 2 dolary i za nie kupiłem najlepsze trzewiki do roboty. Koszulę na święto kupiłem znów za dolara, za tę samą cenę 2 koszule na codzień. Dobre ubranie odświętne kosztowało 10 dolarów, pończochy 3 pary 25 centów, 100 kg węgla dolar. W skróceniu to pokazuje. jakie to życie mógł prowadzić robotnik posiadający nawet większą rodzinę. Mógł do szkoły dzieci posłać i ubrać cały dom. A gdy cały rok robił to odłożył nawet kilkadziesiąt dolarów na czarną godzinę.

W odlewni przerobiłem 10 miesięcy. Dużo mężczyzn pracowało przy betonie i murarzach, ale to był związek zwany unią. Każdy nowy członek musiał wykupić kartę związkową, która kosztowała 25 dolarów. Tę kartę trzeba było opłacać dodatkowo, co trzy miesiące po 2 dolary. Dawali pracę tylko tym robotnikom, którzy należeli do unii. Ci zarabiali tam na 8 godzin 3 dolary. I ja złakomiłem się, że nie na 12 godzin 2 dolary, ale na 8 godzin 3 dolary i rzuciłem pracę w odlewni i wykupiłem kartę i zacząłem robić przy betonie. Z początku bardzo mi się przykrzyło bo nie było roboty wciąż. Czasem 2 i 3 dni w tygodniu się nie pracowało. Gdy przyjdzie zima nie będzie wcale roboty, myślałem i nieraz żałowałem, żem rzucił pracę w odlewni, gdzie nie traciło się ani dnia w roku. Ale trudno, nie honorowo było się wracać, trza było się starać na nowej robocie przerobić 4 do 5 dni w tygodniu.

Mnie drogie szczęście posłużyło, bo dostałem się do gienku i przerobiłem tam całe sześć miesięcy w jednej kompanii. Ciężka to była praca, ale nad siłę nikt nie robi — i do wszystkiego można się przyzwyczaić. Całe lato pracowałem, a i zimową porą dało mi się robić, aż do marca. W tym to miesiącu dostałem list od żony, że wszystkie moje budynki się spaliły i aby natychmiast przyjeżdżać do kraju. Dodała że siedzi z dziećmi w wynajętym domu. Po dłuższej myśli i rozwadze postanowiłem nie jechać zaraz, ale przepracować jeszcze całe lato, by dorobić więcej gotówki, za samą asekurację przecież się nie odbuduję. Tak też i uczyniłem. Przerobiłem jeszcze lato i w grudniu wyjechałem do kraju. Kupiłem szyfkartę na linię holenderską. Nie była to podróż w lecie, ale w zimie. Straszliwe burze szalały, że ciskało okrętem jak łódką. Nie jeden dzień i nie jedną noc przesiedzieliśmy zamknięci przymusowo w kajucie. Ale muszę nadmienić, że życie i czystość były tu w 50% lepsze, niż na okrętach niemieckich.

Po 14 dniach uciążliwej podróży morskiej wylądowaliśmy w Amsterdamie i po odbyciu zwykłej granicznej formalności, siedliśmy na pociąg i ruszyliśmy w drogę. Gdym przyjechał do swej wioski była noc. Miesiączek świecił, udałem się na swój plac i ujrzałem same zgliszcza —ani nawet buda na psa nie ostała. Ha, cóż robić, stanęła mi łza w oku i powlokłem się smutny do tego domu gdzie moja rodzina zamieszkiwała. Gdym wszedł do domu, cała rodzina się zerwała. Wszyscy się cieszą, że przecież tata przyjechał. Po przywitaniu się z żoną i matką, nastąpiła kolej na dzieci. A że w mojej nieobecności przyszedł na świat drugi syn, więc była też uciecha ściskać i całować te maleństwa. I już tak nam zeszło do rana.

Po kilku dniach odpoczynku trzeba się było rozpatrzyć w moim kłopotliwym i trudnym położeniu. Ani mój dorobek kilku miesięcy w Ameryce razem z asekuracją nie wystarczy na wybudowanie wszystkich budynków — myślałem. Na placu moim pierwszym, na którym mieszkałem przedtem, zanim nie przeniosłem się do budynków po bracie, spaliły się stajnie i stodoła, ale dom choć stary ostał się. Nie był on sprzedany więc nie namyślałem się długo, ale wziąłem z sobą dwóch świadków i poszedłem na drugą wioskę do żyda faktora z zamiarem kupna tej połówki placu z tą starą chałupą. Żyd widząc jaką wartość wielką ma dla mnie ten kawałek placu (do tego jeszcze sąsiad mój rwał się do kupna), postawił cenę bardzo wysoką. Mnie chodziło, że złączy się dwa place do kupy

i będzie obszerny i duży plac gospodarski, jak za dziadków, więc po długim i uciążliwym dla mnie targu dobiłem wreszcie do końca za bardzo wysoką cenę.

Za tę cenę można było kupić mórg najlepszego pola. No ale miałem tę myśl że dam sobie radę — jestem jeszcze młody (miałem 35 lat) wrócę jeszcze raz do Ameryki i jakoś to będzie.

Zakasałem rękawy i zaraz wziąłem się z całą szczerością do zwózki drzewa budowlanego. Z wiosną rozpocząłem obróbkę drzewa i po robotach ziemnych i sadzeniu ziemniaków przystąpiłem do budowy. Z budową by jakoś poszło ale wyszedł rozkaz od Starostwa, by powstające nowe budynki kryć dachówką. To już było połączone z większymi kosztami, bo oprócz dachówek potrzeba było i desek. Ale i na to rada się znalazła, bo jak bida to do Żyda — było wtedy przysłowie. Nie oglądając się na nic, wio i ja do Żyda. Tak dachówkę jak i deski wziąłem na weksel 6-cio miesięczny. Około 1600 koron austriackich kosztowało. Straszne to były długi. Wysokość ich przechodziła cenę kosztów 2 mórg najlepszego gruntu.

Od tej pory już mnie nic nie obchodziło — ni dom ni pole — moja myśl ciągnęła mnie, by jak najprędzej ukończyć budowy i z powrotem wrócić do Ameryki. Tak też i zrobiłem. Dziś ukończyłem układać dachówkę na stodole, akurat przywieźli pierwszą furę żyta i wieczór nadchodzi — a ja poszedłem pożegnać się z kolegami, oraz przynieść sobie już gotowy paszport od sekretarza gminy. Krótko się tylko zdrzemnąłem. Gdy słońce wschodziło trza było pożegnać się z rodziną, a szczególnie z dziećmi i po sześciomiesięcznej gorączkowej pracy w domu, znowu wyjeżdżać spowrotem do tej krainy, co wyrywała wszystkie żyły z człowieka, a za tę wycieńczającą pracę dawała mu wszystko — pieniądz.

Ale wracam do siebie. Wsiadłem na pociąg o wschodzie słońca 20 lipca, 4 sierpnia przyjechałem do Chicago, a już 6-go zacząłem robić. Czepiałem się najcięższej pracy, aby tylko z niej jak największy pieniądz wydobyć. Do Bożego Narodzenia wszystkie długi wekslowe odesłałem do domu. Był to rok 1912. W następnym roku dostałem robotę u największego kontraktora cementowego w Chicago, nazywał się on Albert Erzt. U niego przepracowałem całe cztery lata w najcięższej robocie, nie zmarnowałem ani dnia w ciągu 10 miesięcy w roku, często i w niedzielę robiłem. Pieniądz szedł mi w ręce jak woda. Wszystko słałem do domu na spłacenie długów. Byłem jeszcze nie stary i w pełni sił i zdrowię mi służyło, to też byłem wesół. Myślałem sobie— przerobię jeszcze dwa lata i już wolny bez długów wrócę do kraju. Tam będę uprawiał zagon i swobodnie żył. Może który z synów będzie miał zdolności umysłowe to będę go mógł posłać do szkół średnich.

Tak sobie wesoło marzyłem, gdy naraz odwraca się karta. Pierwsze pogłoski o wojnie przyniosły dzienniki. Ej, to bajki — myślę sobie. Ale bajki obróciły się w prawdę — w roku 1914 wybuchła naprawdę wojna. Z początku nic sobie z tego nie robiłem, bo myślę sobie, co mi tam wojna zrobi, tutaj za oceanem. Na domiar bowiem tego w tym roku, gdy wojna była na pełnej stopie, tak roboty szły że i po 12 godzin musiałem dziennie robić. To też i pieniądz szedł, że mogłem i 80 dolarów na miesiąc złożyć. Lecz nie miałem go gdzie ulokować, bo banki upadały jeden po drugim. Radziłem się swego bankiera, czy mi nie przepadną moje pieniądze, gdy je poślę do kraju, odpowiedział mi, że nie gwarantuje, czy dojdą, ale napewno nie przepadną. Ja głupiec od tej pory posłałem do kraju 640 dolarów, żona otrzymała tylko 60 dolarów, reszta prawie wszystko przepadło, tylko 80 dolarów wróciło z powrotem. Ilem ja nie stracił.

Przez cały ten czas t. j. 1914 i 1915 rok dzienniki szeroko rozpisywały się o wojnie. Rozpisywały się szczególnie polskie dzienniki, żeby to Polacy wstępowali do armii jako ochotnicy. Obiecywali, że Polska za to nigdy o takich nie zapomni. Dodawali, że gdy po wojnie powstanie Polska jako kraj wolny, to kto z żołnierzy zostanie przy życiu, a będzie chciał wrócić do Ameryki, to będzie miał zupełną swobodę, bezpłatnie go tam dostawią. Ci zaś, którzy będą chcieli zostać w kraju, dostaną dosyć ziemi na własność, że będą mogli mieć porządne utrzymanie. Za dziennikami odezwało się duchowieństwo po ambonach, też w tym sensie, że każdy młody człowiek, który się czuje Polakiem, obowiązkowo powinien rzucić wszystko i jako ochotnik wstąpić do Armii Hallera. Mnie się to wszystko obijało o uszy, ale nigdy mi nie przyszło na myśl, bym ja człowiek po czterdziestce, do tego ojciec rodziny mógł coś podobnego zrobić. Ale gdy zaczęli iść młodzi i starsi, nadomiar, gdy dwie posyłki pieniężne wróciły i straciłem na tym większą połowę wartości padło na mnie coś, czego nie mogłem sobie wytłumaczyć sam, co to jest. Nie spałem jedną noc i drugą noc, tylko mnie pchało — że tam moje miejsce. Wkońcu upadłem ze sił tak, żem się wywrócił przy robocie. Gdy jeszcze i trzecią noc nie spałem, rano jadąc tramwajem do roboty przejeżdżałem koło biura, gdzie ochotnicy się zgłaszali wysiadłem i poszedłem wprost do biura. Zgłosiłem się jako ochotnik i odrazu zostałem przez doktora przyjęty do Armii Hallera. Za trzy już dni musiałem wyruszyć z innymi do Kanady dokąd zjeżdżali się ochotnicy z całej Ameryki, tam pierwsze początki organizowanej armii miały się rozpocząć.

(W następnym numerze dalsza część pamiętnika p. t. „Na Zachodnim Froncie").

Satyra, fraszka i humor

Poezja i proza wywodząca się ze źródeł ludowych, osiągnęły bardzo wysoki stopień formalny, wzbogacając pięknie twórczość ogólnonarodową.

Inaczej rzecz się ma z takimi rodzajami literackimi, jak fraszka, satyra, humoreska itp. Są one w dorobku pisarzy ludowych, czy pisarzy chłopskiego pochodzenia pozycjami skromnymi, nie ledwie nie zauważonymi. Dopiero po wojnie pojawiło się kilka nie bagatelnych talentów chłopskich, których twórczość stoi całkowicie pod znakiem satyry i humoru: (proza Józef Pogan; poezja Józef Ozga-Michalski).

Nieprzebrane gadki, żarty, fraszki, uszczypliwości chłopskie powinny wreszcie znaleźć poetów i prozaików, którzy czerpiąc z ich tworzywa, dadzą im kształt świetnej i nowej formy artystycznej.

W tym numerze dla wprowadzenia dajemy wybór fraszek dwóch największych fraszkopisów literatury polskiej: Jana Kochanowskiego i Wacława Potockiego. Od przyszłego numeru będziemy już drukować w tym dziale prace współczesnych autorów. Prosimy bardzo wszystkich pisarzy, tak czy inaczej związanych z tworzywem chłopskim o współpracę z nami, o nadsyłanie jaknajliczniejsze satyrycznych i humorystycznych utworów, napisanych tak wierszem jak i prozą.

R e d a k c j a.

Jan Kochanowski

NA NABOŻNĄ

Jeśli nie grzeszysz, jako mi powiadasz,
Czego się miła, tak często spowiadasz?

O DOBRYM PANIE

Dobry pan jakiś, jadąc sobie w drogę,
Ujrzał u dziewki w polu bosą nogę.
„Nie chodź — powiada — bez butów, ma rada,
bo macierzyzna tak zwietrzeje rada".
Łaskawy panie, nic jej to nie wadzi,
Chyba żebyście pijali z niej radzi.

O SZLACHCICU POLSKIM

Jeden pan wielmożny niedawno powiedział:
„W polszcze szlachcic, jakoby też na karczmie siedział,
Bo kto jedno przyjedzie, to z każdym pić musi,
A żona pościel zwłócząc, nieboga się krztusi".

O KAPELANIE

Królowa do mszej chciała, ale kapelana
Doma nie znaleziono, bo pilnował dzbana.
Przyjdzie potym nierychło w czerwonym ornacie.
A królowa: „Ksze miły, długo to sypiacie!"
A mój dobry kapelan na ono łajanie:
„Jeszczem się dziś nie kładł, co za długie spanie".

O ROZWODZIE

Przyszedł chłop do biskupa, chcąc się rozwieść z żoną.
Pytają go: „Czemuż tak w oczu twych mierzioną?"
„Atolim jej nie zastał dziewicą, ksze miły".
A biskup mu zaś powie: „O błaźnie opiły,
Przychodzi to na króle i wysokie stany,
A nie przynoszą takich plotek przed kapłany"!

Wacław Potocki

OMYŁKA W POGŁOWNEM

Gdy z gościem na podwórzu przechodzę się rownym
Aż chłop idzie. Ty dokąd? Do dwora z pogownem,
rzekł, miasto pogłownego; „l" nie mówią chłopi
w Podgórzu. Tu się mój gość niesłychanie stropi:
Nieznośny to podatek, ciężkość niewymowna,
u nas od głów a tu płacą od biednego gowna.

FRANTOWSKA ODPOWIEDŹ

Pomaga Bóg (potkawszy chłopa ze drwy rano),
A co to wieziesz — rzekę, odpowie mi: siano.
Drwać ja widzę obwiesiu, czemu ze mnie szydzisz?
Ba, ty ze mnie, pytając co wiozę, choć widzisz.

POCHLEBSTWO

Chwalą cię pochlebnicy i twe dzieła szerzą;
Rad głupi, kiedy jego cień błaznowie mierzą.
Choćbyś do największego, kota, wsadził wora,
Nic będzie większy jutro, niźli wczora.

SKĄD KNIAZIOWIE W LITWIE

Szlachcic jeden litewski jadąc na romaku,
Słyszy, że świnia, w płocie uwiąższy przy krzaku,
Kwiczy, a ten do swego: Dzi, bracie, Litwinka,
Patrz, jako nas po rodzie poznała ta świnka,
Na mużeć to woła Litwin; tędy zsiadłszy z koni,
obadwaj ją z tak ciasnej oswobodzą toni.
Świnia potym: Kniaź, kniaź, kniaź. W takiejeż gonitwie.
Najpierwszy tytuł kniaziów miał początek w Litwie.

DO GOSPODARZA

Niemasz na świecie końca ziemiańskiej niewoli.
Dziewka mówią, do chłopa, chłop rośnie do roli,
oboje kara za grzech; i to kłopot i to,
Tam na dzieci, tu orać, pocąc się, na żyto.
Święćże się, księży stanie; bez pługa, bez brony,
Na żyto, co większa: ma dzieci bez żony.

OMÓWIENIA

Drugi numer „Teatru Ludowego"[1])

Po przerwie spowodowanej wojną ukazał się drugi numer miesięcznika p. t. ,Teatr Ludowy". Pierwszy (w grudniu ub. r,) ,poświęcony był śp. Jędrzejowi Cierniakowi, twórcy i długoletniemu redaktorowi tego pisma, wybitnemu działaczowi w dziedzinie teatru ludowego na wsi. Cierniak i jego współpracownicy zbierali tradycyjne treści kultury ludowej, chronili przed zanikiem i równocześnie rozbudowywali je do specjalnych form scenicznych: inscenizacji, muzyki, widowisk ludowych itp. W dostosowaniu do życia wsi i warunków scenicznych teatrów, usuwając jednocześnie „niby ludowe" wpływy z kultury wsi. Pod redakcją J. Cierniaka pismo w latach międzywojennych służyło sprawom, zagadnieniom i potrzebom teatrów na wsi.

Miesięcznik „Teatr Ludowy" (z zasiłków Ministerstwa Oświaty), został obecnie znacznie rozszerzony i przystosowany do współczesnych spraw i potrzeb ochotniczych zespołów teatralnych i muzycznych.

W części artykułowej pisma, znajdujemy czołowy artykuł pt. „Nauce muzyki w szkole grozi likwidacja" — autor Walerian Batko, redaktor działu muzycznego uzasadnia potrzebę nauczania muzyki w szkołach średnich do dwóch godzin tygodniowo, wypowiadając się przeciw projektowi Ministra Oświaty, ograniczającego nauczanie tego przedmiotu do jednej godziny, co, zdaniem autora, doprowadzić może do zaniku muzyki i umuzykalnienia społeczeństwa. Pisze on: „Ma swoje orkiestry i chóry i chłop i robotnik. Żołnierzy umuzykalniają w pułkowych orkiestrach i świetlicach. Prowadzą akcję upowszechnienia muzyki liczne instytucje społeczne. Sprawom pozaszkolnej kultury muzycznej służą setki urzędników w województwach i powiatach. Tylko szkoła, która kształci kadry przyszłej inteligencji pozbawiona jest muzyki. Likwiduje się nawet stanowiska instruktorów tego przedmiotu w kuratoriach. Rezultatem takiego stanu rzeczy jest analfabetyzm w sprawach sztuki szerokich rzesz inteligencji. W podręcznikach historii i literatury brak wiadomości o największych twórcach: Stanisławie Moniuszce, Fryderyku Chopinie, Karolu Szymanowskim"

Wywody autora wydają się słuszne i rzeczowe. Ciągłe skargi społeczeństwa na Polskie Radio spowodowane nadawaniem audycji „ciężkiej muzyki" są jak gdyby potwierdzeniem tej słuszności. Szkoda, że nie dowiedzieliśmy się o przyczynach, dla których Ministerstwo Oświaty wprowadza podobny projekt. Nie wiadomo jakie względy, czy budżetowo-oszczędnościowe, czy inne kierują intencją projektodawców. Autor nie oświetlił drugiej strony medalu i utrudni to niezmiernie czytelnikom pisma zabranie głosu w tej sprawie i przeprowadzenie wszechstronnej dyskusji.

Artykuł „Przywilej i prawo każdego". — Bronisława Lubicz - Nycza — mówi: „piękno nie jest tylko przywilejem wybranych" ale ma do niego prawo każdy i przestrzega „przed szkodliwym korzystaniem z repertuaru, który świadczyć może o wszystkim, ale nie o umiłowaniu piękna i nie o jakichkolwiek ambicjach artystycznych zespołów. Poleca czytanie zespołowe utworów scenicznych, odpowiedni dobór repertuaru, orientowanie się i śledzenie recenzji repertuarowych, oraz krzewienie ambicji artystycznych w poczynaniach zespołów ochotniczych teatrów".

Następują po tym krótkie artykuły, zawierające wiele cennych wskazówek dla amatorskich zespołów teatralnych, aczkolwiek niektóre nie są pozbawione doktrynerstwa.

Z innych na uwagę zasługują: artykuł Anny Buterlewicz — „Teatr w świetlicy" zawierający interesujące wiadomości o pracach świetlicowych, inscenizowaniu bajek i opowiadań dla dzieci i dorosłych, oraz Tadeusza Prejznera, który opisuje w formie łatwej, wyraźnej i plastycznej melodię, dźwięki, nuty i ich znaczenie, tak że nawet mało wyrobiony czytelnik może się czegoś nauczyć.

Sprawozdania przynoszą omówienia z dwóch konferencji poświęconych sprawom teatrów ochotniczych i życiu artystycznemu na wsi. Jedna konferencja została zorganizowana przez Centralny Instytut Kultury w dniach 15.X do 4.XI. 1946 r. Druga w grudniu ub. r. przez Ministerstwo Oświaty.

Według sprawozdania z konferencji w C. I. K. o której zapoznaje czytelników miesięcznik „Teatr Ludowy' dowiadujemy się, że przedstawiciel Ministerstwa Oświaty nie był obecny na

---

1) **„Teatr Ludowy" — miesięcznik poświęcony pracy ochotniczych zespołów teatralnych i muzycznych. Wydawca: Towarzystwo Teatru i Muzyki Ludowej R. P., R-XXXIII, nr 1 — 2 styczeń — luty, W-wa, 22 ul. Reja 9.**

konferncji poświęconej sprawom ochotniczych teatrów ludowych w Szklarskiej Porębie. „Przy tak poważnych i szeroko ujętych zadaniach — pisze p. Nycz — jakie wziął na siebie, czy też jakie nałożono na Instytut, radzibyśmy wiedzieć jak uzgodniony jest podział kompetncji zarówno pomiędzy C. I. K. a poszczególnymi Departametami Ministerstwa Kultury i Sztuki, jak też pomiędzy C. I. K. a Ministerstwem Oświaty, które we wszystkich sprawach określonych jak zadania C. I. K. jest z natury rzeczy najistotniej zainteresowane". Czytamy dalej „Nie bardzo już będziemy zgodni z tym czy wszystkie ze spraw określone jako konieczne są równie pilne i istotne, jako konieczne pierwszoplanowe" (odnośnie uchwał konferencji C. I. K. — przypis mój).

Albo wobec uchwał C. I. K. zalecających zwołanie (przez C. I. K.) ogólnopolskiego kongresu teatrów ochotniczvch. Sprawozdawca „Teatru Ludowego" stwierdza: „Kongres taki planował przed wojną Instytut Teatrów Ludowych. Kol. Teofil Matejko przygotował wówczas szczegółowe plany organizacyjne techniczne i kosztorysy. Dziś wydaje nam się, że na kongres taki jeszcze (wobec zadań pilniejszych) zawcześnie". A dalej, że C. I. K. uchwalił „wznowienie miesięcznika traktującego o zagadnieniach teatru ochotniczego. Wydawnictwo to powinno uwzględniać potrzeby form teatru ochotniczego i wszystkich środowisk".

W imieniu zespołu redakcyjnego „Teatru Ludowego" p. Nycz mówi: „Do urzeczywistnienia tej uchwały wzięliśmy się znacznie wcześniej przed zwołaniem konferencji. Różnego typu trudności nie pozwoliły jednak wcześniej wydać ‚Teatru Ludowego" jak dopiero z początkiem stycznia br. Radzi jesteśmy, że wznowieniem tego wydawnictwa zapoczątkowaliśmy pierwsi urzeczywistnienie pilnych uchwał konferencji".

Czytelnik widząc podobne zdania w miesięczniku „Teatr Ludowy" staje się jeszcze bardziej ciekawy i zapytuje się jaki jest zakres działalności C. I. K., jaką „nałożono" na ten Instytut, skoro działające obok Towarzystwo Teatrów i Muzyki Ludowej posiada szeroki ogrom prac do wykonania ze sprawozdania Towarzystwa bowiem wynika że: „W chwili obecnej mamy do obsłużenia trzy tysiące samodzielnych zespołów teatralnych, około 300 zespołów instrumentalnych, około 75.000 uczestników".

Widząc cyfry, konferencje, uchwały i zadania możnaby sądzić, że sprawy kulturalne wsi rozwiązane są już dawno i szerokim strumieniem spływa kultura na masy ludowe. Tymczasem jest przeciwnie, nie wiele się zmieniło na wsi w krzewieniu masowej kultury artystycznej, teatralnej i literackiej. Nie jest możliwe w krótkiej recenzji omówić rozparcelowania i rozproszkowania sił w zakresie poczynań kulturalnych na wsi. Wydaje się jednak, że nie wszyscy miłośnicy kultury docenili fakt, iż w zmienionych warunkach kultura i jej rozwój ściśle wiąże się z zagadnieniami politycznymi i gospodarczymi. Ochotnicze teatry winny stosować się w treściach i formach do syntetyzowania współczesnej rzeczywistości na deskach scenicznych. Braki repertuarowe teatrów ludowych, udowadniają najlepiej rozpaczliwą sytuację w jakiej znajdują się liczne teatry ochotnicze i większość działaczy oświatowo - kulturalnych w dobie obecnej.

„Teatr Ludowy"; w części „Materiały"; drukuje cały II akt sztuki Bohdana Pepłowskiego p. t. „Droga do świtu". Jest to poczynanie wybitnie celowe i pożyteczne. Akt ten może być odegrany jako oddzielna całość. Fakt drukowania współczesnej sztuki teatralnej granej w teatrze w Warszawie, Krakowie i indziej — pozwala żywić nadzieję, że redakcja zrywa z wyłącznością uprawiania tradycyjnych form i treści sztuki ludowej, którą reprezentował przedwojenny „Teatr Ludowy", a zamierza raczej reprezentować wszystkie dodatnie i wychowawczo - społeczne elementy tradycji, poprzez jednoczenie aż do wyżyn sztuki teatralnej.

Zamieszczona, obok „Drogi do świtu", „Baśń o staruszku, staruszce i złotej rybce" podług tekstu Glińskiego (opracowanie Anny Buterlewicz), zdaje się pewne przebłyski w tym względzie przynosić. Jednak autorka zbyt wiernie trzyma się tradycyjnego tekstu i w zakończeniu inscenizacji popełnia rażący nieuzasadniony psychologicznie i rzeczowo błąd, nie mówiąc już o przysposobieniu sztuki do współczesności. Według treści w bajce — pewna staruszka, za sprawą złotej rybki żyjącej w morzu, otrzymuje korytko. Po tym zostaje panią dworu, następnie królową. Nie zaspakaja to jej ambicji. Za pośrednictwem męża rybaka — staruszka pragnie „zostać nową królową morza" i „złotą rybkę mieć na swe usługi". Złota rybka się nie zgadza i ginie w morzu, pryskają czary. Przepisy inscenizacyjne p. Buterlewicz, nakazują grupie dziewcząt, spełniających rolę chóru, w ostatnim momencie wskazywać na staruszkę, wyśmiewając ją, rytmicznie wołać „ha; ha; ha...".

Autorka nie zastanawiała się zupełnie nad elementami realizmu, logiki faktów, akcji i prawdą psychologiczną w bajce — typową niezmiernie dla wszelkich bajek i opowiadań starej ludowej literatury. Nie wiadomo również, czy bajka zanotowana przez Glińskiego, w końcowym stadium (a to się najczęściej zdarza) nie uległa zmianom, spowodu nieścisłości zbieracza. Znana jest ona przez Kaszubów i aktualizowanie jej w czasach, gdy dawno już przebrzmiało przysłowie „na co chłopu morze, gdy w polu orze" — jest wysoce niefortunne. Okazuje się, że staruszka w bajce posiada o

wiele więcej zdrowego rozsądku, niż wielu miłośników kultury ludowej.

Nie rozumiem intencji krzewicieli teatru ludowego w stosunku do tradycyjnego materiału, który właściwie, choć nie całkowicie oceniony został przez ludzi nauki, a przez przodowników traktowany z brakiem wyczucia głębi realnych wartości w treściach i formach. Tymbardziej, że ochotniczy teatr uporczywie szuka nowych, dobrych treści, w imię ciągłości kulturalnej przejścia z dziś do jutra nie tylko kultury ale i całego życia.

I wreszcie jest sprawą charakterystyczną, że miesięcznik ukazał się na rynku, w czasie gdy stołeczna literacka prasa poświęciła całe numery twórczości Karola Szymanowskiego w 10-tą rocznicę jego śmierci. Miesięcznik „Teatr Ludowy" nie wspomina o tym zupełnie. Wierzymy że w numerze następnym zapozna czytelników z motywami i skalą motywów ludowych w twórczości Karola Szymanowskiego. Będzie to już spóźnione. Okazuje się, że nie z własnej winy chłop na wsi zostaje w tyle — ale z winy inteligencji pochodzącej ze wsi.

Bartłomiej Bigorajski.

O GEST CHŁOPSKI

Zofia Starowieyska - Morstinowa pisze w „Listach z Teatru", że artyści w teatrach miejskich nie umieją dobrze zagrać roli chłopa i odgrywają je fałszywie. Wyjątki z tego bardzo ciekawego artykułu, zamieszczamy poniżej. (red.).

Na scenie — tak samo zresztą jak w wielu dziedzinach sztuki — mimo wszystkiego, co się mówi o realiźmie i prawdzie — panują uporczywie różne konwencje. Konwencje powstają też z życia. Klisze martwe i zakrzepłe były ongiś prawdą, jednym krokiem naprzód ku odkryciu prawdy, a dopiero potem, nierewidowane i niesprawdzane, krzepły w martwotę nudę i fałsz. Tak właśnie stało się z kliszą, wedle której do dziś dnia „robi się" scenicznego chłopa.

Są dwa jego wzory: jest chłop zastraszony i nieśmiały; stojący w kącie, gdy rozmawia z inteligentem i mnący w ręku czapkę. Jest też chłop rubaszny, ordynarny, zataczający się z kąta w kąt i rozwrzeszczany. Chłop mnący czapkę i przestępujący z nogi na nogę, jest niewątpliwie kliszą z epoki pańszczyźnianej, kliszą, która dziś nie odpowiada żadnej rzeczywistości. Chłop rubaszny i ordynarny, klnący i plujący po podłodze, jest kliszą ze scen jarmarcznych i karczemnych, po części kliszą „z pamięci" a raczej „z wyobraźni" ludzi miejskich. Ci, co go w ten sposób przedstawiają, chyba nigdy chłopa prawdziwego nie widzieli, nigdy w jego towarzystwie się nie obracali i nie obcowali z nim z bliska i na codzień.

Każdy, kto chłopa zna, kto z nim obcował, bywał u niego i u siebie go przyjmował, wie doskonale że chłop nie pluje po podłodze, je porządnie, w towarzystwie zachowuje się poprawnie i doskonale umie się znaleźć, że ma wzięcie ujmujące i pełne godności, nacechowane właśnie dużą powściągliwością, gestem powolnym i spokojnym sposobem mówienia. Chłop, zwłaszcza w stosunku do tzw. inteligencji wykazuje niezwykle wiele taktu, jest dyskretny, nienahalny, ma postawę pełną prostoty, na którą składają się: poczucie własnej godności i zupełny brak wszelkiej przykrej uniżoności. W stosunkach towarzyskich jest chłop człowiekiem bardzo przyjemnym i raczej człowiek miastowy przyzwyczajony do stylu życia coraz bardziej bezceremonialnego musi uważać, żeby go nie urazić złymi manierami. Zresztą zdarza się to często. Niejednokrotnie widziałam chłopów głęboko zgorszonych i oburzonych „swobodnymi" manierami ludzi miejskich, zwłaszcza gdy ludzie ci — wedle własnych pojęć o chłopie — chcą się na wsi swobodnie bawić.

Chłop polski, choć w wielu wypadkach nie bardzo wykształcony, nie jest ordynarny. (Oczywiście tu — jak wszędzie — zdarzają się wyjątki). Przeciwnie. Chłop posiada może nie książkową, ale jednak prawdziwą i głęboko zakorzenioną kulturę, która jest wykładnikiem jego stosunku do życia a zwłaszcza w wysokim stopniu w nim wyrobionego poczucia własnej godności. Jego zewnętrzny sposób bycia jest prostą konsekwencją tego wewnętrznego nastawienia i w rezultacie daje właśnie to obejście pełne raczej ceremonialności, niż prostactwa.

Trzeba by więc rozbić nareszcie te sceniczne i literackie klisze tak zahukanego, z nogi na nogę przestępującego chłopa - nieśmiałka i kliszę rubasznego chłopa - chama i zastąpić je istotną chłopską prawdą. Ale na to trzeba by się pozbyć tego — mimo wszystko ciągle w mieście pokutującego — poczucia „miejskiej wyższości" w stosunku do wsi i chłopa. Trzeba by zrozumieć, że na to, by dobrze chłopa zagrać, nie trzeba się „uprostaczać" i „uordynarniać", przeciwnie, że trzeba z szacunkiem i uznaniem wejść w chłopską tradycję i kulturę i uznać jej wartości.

Zofia Starowieyska - Morstinowa.

[1]) Listy z Teatru, nr 12, r. 1947.

Kobiety i przemysł artystyczny

Większość kobiet na Podhalu zmuszona jest pracować zarobkowo poza domem, przez co ucierpieć musi przede wszystkim wychowanie dzieci. To też kobiety ubiegają się o zajęcie, które mogą wykonywać w domu. Cenione jest tkactwo, krawiectwo i fabrykacja obuwia. Oprócz wyrobu samodziałów wchodzi w rachubę kilimkarstwo i koronkarstwo. Uświadomiłam sobie to, zwiedzając wystawę szkoły koronkarskiej i kilimkarskiej w Zakopanem, założonej w r. 1882 przez sławną artystkę dramatyczną Helenę Modrzejewską.

Szkoła wystawiała swoje roboty na kilku wystawach w kraju i zagranicą i uzyskała złoty medal w Paryżu. W roku 1938 uczennice wykonały nakrycie na 24 osoby dla żony maharadży w Bombaju.

Podczas okupacji niemieckiej cenne wyroby musiały być oddawane Niemcom. Uczenice i dziewczęta pracujące w szkolnej pracowni były zwolnione od wyjazdu na roboty i otrzymywały dodatkową kartę żywnościową, lecz musiały „klockować" bez wypoczynku.

Obecnie szkoła pracuje na wysokim poziomie. Ministerstwo Kultury i Sztuki przez swój Wydział Wytwórczości w Warszawie zamówiło większą część eksponatów. Wystawa urządzona na zakończenie roku szkolnego dała całokształt działalności szkoły. Widziało się rzeczy w przepięknym artystycznym wykonaniu, według projektów prof. Skopińskiego, art. Samikowej-Bujakowej i Kintopfowej.

Należy zaznaczyć, że szkoła pod kierownictwem ob. Gałazińskiej przerabia podhalańskie półfabrykaty (lniane nici i wełnę) w naturalnych kolorach lub farbowanych, we własnej farbiarni szkolnej.

Od nowego roku szkolnego ma powstać w Zakopanem Żeńska Szkoła Przemysłowa. Koronkarstwo i kilimkarstwo zostaną w niej szczególniej uwzględnione. Powstanie też gimn. krawieckie. Przy szkole zostanie zorganizowany internat, więc uczennice przybędą z różnych stron kraju. Przed wojną rekrutowały się zaś przeważnie z miejscowych i okolicznych dziewcząt góralskich. Pracowały one także w domu dla szkolnej pracowni, a koronkarstwo stanowiło główną gałąź przemysłu chałupniczego na Podhalu.

Obecnie uczennicami szkoły koronkarskiej są również panienki i panie z inteligencji. Uczą się one koronkarstwa i kilimkarstwa głównie dlatego, by móc tą pracą zarobkową powiększać budżet domowy. Artystycznie wykonane serwetki, nakrycia stołowe, zasłony i kilimy zawsze znajdują licznych nabywców.

M. O. Sk.

Ze zjazdu referentów sztuki ludowej

Centralny Instytut Kultury zorganizował w Zakopanem w dn. 5 — 9 maja br. zjazd, mający omawiać sprawy sztuki i kultury ludowej; skupił on około 18 etnologów, etnografów, muzeologów, oraz przedstawicieli władz i instytucji kulturalno-społecznych.

Wygłoszonych zostało szereg referatów, naświetlających główne zagadnienia etnografii, sztuki i kultury ludowej, w sensie merytorycznym i praktycznym. Referowali: Ludwik Chomiński, dyrektor C. I. K-u, dyr. Ksawery Piwocki, dr. Dalbor, dr. Gerard Ciołek, inż. Wojciech Onitch, prof. Eugeniusz Frankowski, dr. Tadeusz Seweryn, Janina Jankowska-Orynżyna, dr. Maria Frankowska. Zjazdowi przewodniczył prof. dr. Józef Gajek.

Dużą uwagę zwrócono na problem utrzymania się folkloru i reorganizacji jego form na terytorium Ziem Odzyskanych, jak również poruszono sprawę opieki nad zabytkami sztuki i budownictwa ludowego na tymże terenie. Na uwagę zasługuje projekt organizacji w Polsce muzeów tzw. skansenowskich. Wysunięto również (ob. Rydzkowski) projekt organizacji tzw. „muzeów społecznych", podobnych w zasadzie do omawianych w naszym miesięczniku „Archiwów Twórczości Ludowej".

J. S.

Książki które warto kupić i przeczytać

Trudno byłoby zaliczyć wszystkie książki, o których poniżej będzie mowa, do literatury ludowej w potocznym rozumieniu tego słowa. Poeci tacy jak np. Frasik, Ożóg czy Piętak, prozaicy jak np. Dunarowski, Goździkiewicz czy Morton daleko odbiegli od wzorów literatury ludowej stworzonej przez Jantka z Bugaja, Kurasia, Magrysia, Bojkę. Wielu współczesnych pisarzy pochodzenia chłopskiego i w twórczości swojej posługuje się środkami wyrazu właściwymi współczesnej literaturze narodowej. Pisarze ci jednak nie zatracili związku ze wsią i podkreślają go zarazem problematyką i tematyką swoich

utworów, jak i częstym sięganiem do skarbca artystycznych form utrwalonych w autentycznej literaturze ludowej.

Szczególną uwagę należy zwrócić na działalność wydawniczą Oddziału Wiejskiego ZZLP, który zajął się publikowaniem książek nie mogących liczyć na zainteresowanie prywatnego wydawcy, stawiającego zwykle względy handlowe wyżej niż artystyczne i kulturalne. Wydawnictwo Oddziału wypuściło dotychczas na rynek cztery publikacje, które omówimy pokrótce.

„PRZEDNÓWEK" **Pawła Kubisza** pisany jest gwarą Ślązaków zaolziańskich. Gwara to bardzo odmienna i od naszego języka literackiego i od gwar ludowych Polski centralnej. Trudności jednak językowe (zmniejszone zresztą przez autora dodaniem słowniczka objaśniającego nieznane u nas słowa i zwroty) nie zmniejszają zainteresowania, jakie wzbudza ta książka, opowiadająca o życiu, niedoli i walkach polskiego ludu za Olzą.

Nowy tom wierszy **Józefa Andrzeja Frasika** „URODZONY W ŹDŹBLE" omawiany był szeroko w prasie literackiej (zbiorowa recenzja we „Wsi" (Kałużyński, Lichański i Sobierajski), obszerna recenzja Lichańskiego w „Twórczości", Matuszewskiego w „Kuźnicy" i szereg innych). W poezji swojej bardzo szczęśliwie połączył Frasik tradycyjne wątki tematyczne poezji ludowej oraz niektóre jej formy wyrazu z nowoczesną techniką literacką, stwarzając własny styl poetycki, świeży i odrębny. Frasik jest piewcą wiejskiego krajobrazu, chłopskiej pracy i chłopskiego życia rodzinnego. Nie obejmuje on szerokiego kręgu zagadnień, ale w swoim zakresie tematów i problemów jest artystą wysokiej klasy.

Z nazwiskiem **Stanisława Piętaka** łączy się oficjalne wejście literatury ludowej na arenę ogólnonarodową: nagroda Polskiej Akademii Literatury przyznana mu za jego „MŁODOŚĆ JASIA KUNEFAŁA" była uczczeniem całej plejady pisarzy pochodzenia chłopskiego, którzy odegrali poważną rolę w rozwoju naszej literatury okresu międzywojennego. Nowy tom wierszy tego znakomitego poety i prozaika „DOM RODZINNY" jest książką zbiorową, zawierającą najlepsze utwory z tomów wydanych poprzednio oraz wiersze z czasów wojennych i przedwojennych. Ukazanie się „DOMU RODZINNEGO" należy do najważniejszych wydarzeń literackich lat 1945—1947. O wartości literackiej dorobku poetyckiego Piętaka nie trzeba chyba nikogo przekonywać.

Jako czwarty tom Biblioteki Oddziału Wiejskiego ZZLP ukazał się debiut poetycki **Edwarda Marca** „WNUCZEK ORZE". Marzec wchodzi do literatury jako pisarz dojrzały, świadomy swoich zamierzeń. Potrafi on w sposób niezwykły łączyć szczerą poezję z realizmem opisu. Życie chłopskie w jego wierszach nieupiększone, niewystylizowane na poetycką sielankę. Marzec zapowiada się jako jeden z najciekawszych w naszej literaturze poetów-realistów.

W najbliższych tygodniach należy się również spodziewać wydania przez Bibliotekę Oddziału Wiejskiego poematu **Stanisława Nędzy-Kubińca** „JANOSIK". W ciągu lata zaś ukaże się „Almanach literacki Oddziału Wiejskiego ZZLP" oraz tomik wierszy Józefa Bojara i Stanisława Skonecznego.

Spośród tomów wierszy wydanych poprzednio (jeszcze przed powstaniem Biblioteki Oddziału Wiejskiego) na szczególne wyróżnienie zasługuje „KRAJ" **Jana Bolesława Ożoga,** zawierający utwory powstałe głównie w czasie wojny, a świadczące o stałym rozwoju tego niepowszedniego talentu, dwa zbiorki znakomitego humorysty i gawędziarza **Józefa Ozgi-Michalskiego** „OBEREK ŚWIĘTOKRZYSKI" i „POEMAT NOWOSIELECKI" oraz tomik partyzanckich wierszy **Stanisława Skonecznego** pt. „Z LASU".

Nie próżnowali w tym czasie również prozaicy. Ze znanych już przed wojną przypomnieli się **Stanisław Piętak** tomem opowiadań wojennych „FRONT NAD WISŁĄ" oraz **Józef Morton** powieścią „INKLUZOWE WIANO", w której opisuje wieś polską z lat 1870—80, kreśląc z właściwym sobie rozmachem znakomitego pisarza-psychologa niezapomniane sylwetki ludzi owego czasu.

Znany przed wojną głównie jako poeta **Antoni Olcha** wydał reportaż pt. „NOWA NAFRAWA", który poświęcony jest opisowi przesiedlania się grupy chłopów z Naprawy koło Jordanowa na Ziemie Odzyskane.

Aczkolwiek **Władysław Dunarowski** i **Teodor Goździkiewicz** debiutowali jeszcze przed wojną, to pierwsze ich książki nie zyskały rozgłosu, gdyż całe niemal ich nakłady uległy zniszczeniu podczas kampanii wrześniowej w 1939 r. Obecnie Dunarowski przypomniał się wznowieniem swojego przedwojennego tomu nowel „LUDZIE SPOD MIEDZY", w których okazał się znakomitym obserwatorem życia chłopskiego i rokującym duże nadzieje prozaikiem. Przedwojenna powieść Goździkiewicza „GŁOSY Z DALEKA" czeka dotąd na wznowienie, autor bowiem wydał obecnie tom nowel „WYŻYNKA". Nowele te powstały — niemal wszystkie — jeszcze przed napisaniem owej powieści i są niejako antologią młodzieńczego dorobku pisarskiego autora. Goździkiewicz łączy w swoich opowiadaniach talent obserwacyjny i narracyjny z głęboką pasją społecznika.

Wielką niespodzianką na tle pisarstwa chłopskiego jest powieść **Józefa Pogana** pt. „UGORY". Książka ta wyszła spod pióra chłopa, małorolnego gospodarza z okolic Ojcowa, osiadłego obecnie na Śląsku. Pogan maluje życie wsi z surowym realizmem, nie unikając mówienia prawdy nawet wtedy, kiedy prawda ta brzmi bardzo boleśnie. Surowa, miejscami nieudolna ale działająca na czytelnika i żywa proza Pogana jest zapowiedzią nieprzeciętnego talentu.

Poza tymi publikacjami literackimi warto zwrócić uwagę na książki nader ważne dla historii rozwoju nowoczesnej literatury ludowej. Książkami tymi są: **Mieczysława Kafla** i **Antoniego Olchy** „WIEŚ PISZĄCA" (monografia czasopisma „Wieś — jej pieśń") oraz pomiętnik literacki **Józefa Kapuścińskiego** pt. „CIERNISTE ŚCIEŻKI LITERATURY LUDOWEJ".

Stefan Lichański

KONKURS NAUCZYCIELI

Mimo bezwzględnego zakazu ze strony okupanta i terroru, naród polski prowadził przez cały czas okupacji wytężoną pracę nad utrzymaniem kultury przez potajemną akcję oświatową. Była to praca równie ważna i niebezpieczna jak partyzantka czy działalność konspiracyjna tymbardziej zaś ryzykowna, że wielkie rzesze młodzieży narażała na zsyłkę do obozów.

W tajemnym nauczaniu bierze udział nauczycielstwo, inteligencja osiadła na wsi i studenci — jako organizatorzy i wykładowcy w tajnych kompletach szkolnych. Tajne nauczanie wiąże się i zbiega z akcją partyzancką, informacją radiową i prasową z tego prostego powodu, że uczestnicy kompletów to ruchliwy i patriotyczny element w społeczeństwie.

W ciągu dwóch lat wolności wiele dziedzin z życia społeczeństwa w okresie okupacji znalazło już częściowo oświetlenie, ale dotyczy to najefektowniejszych akcji i najcięższych kaźni jak obozy, akcje zbrojne, likwidacje itp. Dziedzina prac oświatowych zwłaszcza na wsi nie została jeszcze omówiona, a przecież w pełni na omówienie zasługuje.

Pragnąc dać początek w tym względzie Ludowy Instytut Kultury ogłasza konkurs na opis pracy oświatowo - kulturalnej na wsi w czasie okupacji.

WARUNKI:

1. W Konkursie mogą brać udział nauczyciele (nauczycielki) szkół powszechnych, średnich, profesorowie i inni inteligenci, którzy zajmowali się osobiście organizowaniem tajnych kompletów, nauczaniem i urządzaniem imprez kulturalno - artystycznych na wsi w czasie okupacji.

2. Tematem opisu w pracy konkursowej jest działalność oświatowo - kulturalna z tym, że prócz ścisłego opisu swojego w niej udziału (przeżycia, fakty, wydarzenia, praca), autorzy zarysują środowisko, zaznaczając jego złe i dobre postawy.

3. Tematem jest również praca społeczno kulturalna (pomoc sierotom i wdowom po poległych i zamordowanych, ochrona dzieł sztuki i bibliotek, oświata u partyzantów itp.), w opracowaniu należy scharakteryzować możliwie wiernie środowisko.

4. Forma opisu jest dowolna (pamiętnik, wspomnienia, materiały, rozprawy, obrazy literackie), ale w załączniku powinien się znaleźć wykaz osób miejscowości i daty, brane w opisie pod uwagę. Autor może opracować obydwa tematy osobno.

5. Prace konkursowe w swej objętości nie powinny przekraczać stu stron maszynopisu. (Nadesłane w rękopisach nie będą rozpatrywane).

6. Termin nadsyłania prac mija z dniem 1-go września 1947 r., w razie wątpliwości rozstrzyga data stempla pocztowego.

7. Nagrody: I. 20.000 zł, II. 15.000 zł, III. 10.000 zł, trzy IV-te po 5.000 zł. Przewiduje się zwiększenie wysokości i ilości nagród po uzyskaniu funduszów od instytucji i organizacji zaintersowanych w powodzeniu konkursu.

8. Prace konkursowe należy przesyłać na adres redakcji „Miesięcznika Ludowego" z dopiskiem na kopercie „Konkurs nauczycieli". Do materiału winna być załączona zaklejona koperta z godłem autora nazewnątrz i dokładnym adresem w środku.

9. Ludowy Instytut Kultury zastrzega sobie pierwszeństwo w wykorzystaniu nagrodzonych lub wyróżnionych prac na prawach obowiązujących w wydawnictwach.

10. Skład sądu konkursowego zostanie podany do wiadomości w „Miesięczniku Ludowym" w następnym numerze.

——oOo——

Redakcja prosi usilnie czytelników o rozpowszechnianie wiadomości o konkursie wśród nauczycielstwa, kierując po szczegółowe informacje pod naszym adresem.

Prosimy również redakcje pism, które rozchodzą się na wsi o zamieszczanie w całości lub w streszczeniu warunków konkursu.

WYDAWCA: LUDOWY INSTYTUT KULTURY. REDAGUJE: KOMITET REDAKCYJNY.

Tymczasowy adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Pierackiego 15 m. 2a.

PRENUMERATA: Kwartalna wraz z przesyłką pocztową — 90 zł. półroczna — 160 zł, roczna — 300 zł. W Ameryce: 0,5, 1, 2 dol. Należność wpłacajcie na konto P.K.O. — 4264, lub bezpośrednio w Administracji.

Druk. NKW SL, Warszawa, ul. Skolimowska 5. B-31928

czytajcie
prenumerujcie
rozpowszechniajcie

»MIESIĘCZNIK LUDOWY«

Pismo poświęcone krzewieniu kultury i przebudowie stosunków społeczno-kulturalnych na wsi.

»Miesięcznik Ludowy« może być przydatny działaczom i przodownikom w kołach młodzieży wiejskiej

nauczycielom zajmującym się organizowaniem świetlic, teatrów amatorskich, chórów i kursów oraz pogadanek na tematy kulturalne,

spółdzielcom, którzy przez prace gospodarcze pragną przyczynić się do podniesienia poziomu kultury,

wszystkim chłopom, którzy szukają rzetelnego objaśnienia kultury i jej związku z życiem gospodarczym.

»Miesięcznik Ludowy« otwiera swoje stronice dla młodych, starszych pisarzy chłopskich oraz pracowników kultury na wsi i zaprasza ich do współpracy.